Nr. 23. Warszawa, dnia 8 Czerwca (27 Maja) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SMUTNA EPOPEJA.

Dnia 1 czerwca Izba deputowanych we Francyi była znowu widownią popisów sumienia w walce z łapownictwem. Na pociechę „wielkiego narodu" powiedzieć potrzeba, że nie gmerano przytem w żadnych nowych ściekach, chciano tylko odprowadzić dawne, aby nie przypominały zbyt dotykalnie i nieskazitelności potęgi narodowej i wonnej etyki jego przedstawicieli i pełnomocników w rządzie. Poruszono znaną już dobrze sprawę oszustw przy koncesyi, budowie i prowadzeniu drogi żelaznej południowej. Przed rokiem mniej więcej Jaures, deputowany z Paryża, zwrócił był uwagę na niesłychanie dogodne warunki, głównie co do uderzająco długiego terminu brzęczącej rękojmi państwowej, jakie zapewniono bandzie, pragnącej pod okiem arcy-łotra Reinacha ponapychać sobie kieszenie. Rząd wówczas przyrzekł śledztwo, zażądał wolnego biegu dla sprawiedliwości — i zamknął usta Izbie, która nie bardzo się o to na niego gniewała. W grudniu r. z. zainterpelowano go o postęp sprawy; wywiązała się kilkodniowa bitwa w Izbie; podejrzenia i oskarżenia spadły na ludzi, stojących u steru; po gorszących scenach ostatecznie uchwalono porządek dzienny, zostawiający znowu wolny bieg sprawiedliwości, i wrzawa na razie ucichła.

W sobotę deputowany Rouanet spytał ministra sprawiedliwości Trarieux: jak też z wolności swojej ta sprawiedliwość, pod opieką ministeryalną zostająca, przez czas ubiegły od ostatniej rozprawy w Izbie skorzystała? Kolej była budowana obydnie, w odpowiedzialnym zarządzie swoim miała słomianych ludzi, płatnych za wynajęcie się zdzierstwu do posług, miała przyjaciół w Izbie, pobierających *douceur*'y za milczenie, jeśli nie za wymowę w interesie bandy, na której czele stali Reinach, Eiffel, słynny twórca ósmego cudu świata, i in. Pomimo całej ociężałości Temidy, którą widocznie dobrze karmić musiano, biegły handlowiec, Flory, już dotychczas zdążył przedstawić p. Trarieux listę winowajców. Pomiędzy nimi znalazł się, w charakterze świadka powołany, jakiś czynny polityk izbowy, któremu rzezimieszkowie, osłonieni przez koncesyę, wypłacili różnymi czasy za uprzejme umizgi do woli prawodawczej narodu, coś około 90 tysięcy franków. Rząd nie wie, co zrobić z tą listą, z tymi winowajcami, z tym świadkiem, z tym syndykatem wreszcie emisyjnym, z którym sprawiedliwość istotnie pobawiła się tylko, skazując go na *dommages - interets* i koszty procesu cywilnego.

Rouanet, zwracając się do ministrów, w żywe oczy rzucił im te słowa: „Ministrowie mijają, jak cienie, ale błędy ich pozostają, jak plamy na godności Rzeczpospolitej. Znowu ma się powtórzyć komedya panamska. Pooskarżane o przekroczenia, które przedawniają się po trzech latach; nikt nie pomyślał o pociągnięciu do odpowiedzialności tych, którzy się dopuścili przestępstw bezkarnych dopiero po latach dziesięciu. Komar zginie, a wielbłąd pociągnie dalej. Co znaczą jakieś odszkodowania, jakieś grzywny, co znaczy choćby największa kara pieniężna? Nie pieniędzy tu trzeba, ale sprawiedliwości, moralnej kary wcielonej kryminalną, moralnego też zadowolenia dla czystych jeszcze, nie splamionych wspólnictwem. Wydrwigrosze demoralizują ojczyznę: jaką będzie jej przyszłość?"

Mowę całą opozycya przyjęła oklaskami, ale oportuniści, stanowiący jądro i miąższ rządu, demonstracyjnie ani drgnęli. P. Trarieux zaczął: „Więc p. Rouanet twierdzi, że i wśród ministrow są szalbierze?" Krótką pamięć ministra nadsztukował zachowawca Deramel, krzycząc: „A Baihaut!" Minister ciągnął dalej: „Zastałem już sprawę kolei południowej rozognioną, kiedy obejmowałem dzisiejszy swój urząd. Wplątani są w nią członkowie rady zarządzającej: Martin, Robin, André. O innych nic nie wiem. Pociągam do odpowiedzialności tylko tych, przeciw którym mam *dowody wystarczające* (preuves suffisantes)." Ministrowi znowu trzeba przypominać, że nie jest przecież sędzią, a sprawiedliwości wolny bieg zostawić powinien względem wszystkich podejrzanych. P. Baudry d'Asson dziwi się powściągliwości ministra, któremu to nie przeszkadza jednak w dalszym ciągu wykładać Izbie, co zrobił. Były o to dwa śledztwa: jedno już ukończono, drugie musi być wstrzymanem, ale jest w toku.

Na to Hugues woła: „Nędzni komedyanci!" Minister znowu: W tem drugiem śledztwie (które musi być wstrzymanem) sprawozdanie złożył ów Flory; oddał on w ręce sprawiedliwości jedną tylko osobę, ale dobrą: senatora Magnier. Syndykaty uważa Flory za istniejące prawnie. Sam Trarieux ma takie samo przekonanie i utyskuje tylko, że politycy, jakimi są deputowani, wtrącają się do administracyi. Wyjaśnia potem, że Magnier do syndykatu nie należał, ale wziął istotnie od Reinacha 87,000 fr. za inną jakąś uprzejmość.

Pójdzie on pod sąd. Podejrzani sami niechaj się usprawiedliwiają.

Wyzwany temi słowy Rouvier wpada na mównicę i zasłania się sprawiedliwością „krajową,“ która żadnej na nim nie znalazła skazy.

— A opinia publiczna? — wołają.

Opinia? Ach, ta stara wiedźma, ten wiekuisty latawiec! Co znaczy opinia dla męża, oczyszczonego przez sprawiedliwość krajową? Koncesya była przecież jawną, dozwoloną. P. Rouvier był już przemysłowcem, kiedy go kraj zaszczycił mandatem poselskim; jako przemysłowiec, został szczęśliwym posiadaczem całego tysiączka dozwolonych akcyj, a jako taki posiadacz — członkiem dozwolonego również przez prawo syndykatu.

Cluseret wrzeszczy: „Gdyś pan zaczynał, nie miałeś ani szeląga!“ Rouvier spiera się z nim, że miał, i nie jeden. Szelągi — rzecz dobra. Były minister żałuje, że przez ćwierć wieku, zamiast uszczęśliwiać sobą ojczyznę, nie zbijał jako *privatier* grosza do grosza: nie potrzebowałby teraz oczyszczać swej czystości. „Nie jesteście jeszcze trybunałem rewolucyjnym — woła do swych oskarżycieli — dochodzącym, kto z czego i na czem zrobił majątek.“ W szlachetnym potoku napływa mu wreszcie myśl, do jakiej ucieka się zwykle taktyka dziecinna: „A wy nie bierzecie? Ziomianie głosują za tymi, którzyby im cła ochronne wyjednać mogli. Każdy łapie co może, krząta się około swego dobra, jak umie; każdy korzysta z uroku imienia poselskiego.“

Środek, rdzeń oportunizmu, wynagrodził Rouviera za tę bezwstydną szczerość oklaskami.

Czas było już zakończyć czynność dezinfekcyjną. Jaurès zebrał ducha toczonych rozpraw: ukarać szalbierstwo potrzeba, ale minister nie chce i Izba nie chce. Gdyby chciała, uchwaliłaby prawo przeciwko syndykatom, jak uchwaliła *lex Wilson*. I na podstawie samej tylko tej *lex* możnaby ścigać szalbierzy.

Mniejszość Izby podziękowała Jaurès'owi oklaskami, ale nikt, nawet sam Jaurès, nie sformułował wniosku, zmierzającego do poprawy smutnych stosunków.

Ilustrując przysłowie o stole i nożycach, zjawia się i p. Rouvier, choć chory, i wywłóczy swą niewinność i wzgardę.

Izba go już nie słucha i głosuje nad porządkiem dziennym. Ostatecznie przewagą 254 głosów nad 229 wyraża zaufanie do rządu i wiarę w dobrą wolę sprawiedliwości. *Finita la comedia.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Japończycy opanowali już Formozę. Natarli okrętami na północną część wyspy, gdzie „rzeczpospolita“ miała swoje gniazdo polityczne i wojskowe, zbombardowali Ke-Lung, rozbili armię republikańską i posunęli się na południe. Wszystko to stało się jeszcze w maju, w ostatnich dniach tego miesiąca. Ponieważ wyspa jest niewielka (660 mil kw.), a część jej południowa prawie wcale nie broniona, można opanowanie do tej chwili całkowitego jej lądu za pewne uważać. W warunkach, narzuconych Japonii przez mocarstwa europejskie, znajduje się i ustąpienie niezwłoczne z Lao-tongu; wojsko zwycięzkie zaczęło już opuszczać półwysep. W Wei-hai-wei japończycy jeszcze stoją, zajmując je flotą i wojskiem lądowem — na jak długo? Dotychczas układ, poprawiający traktat w Szymonoseki, trzymany jest w tajemnicy, a on to obecnie rządzi prawami, nabytemi przez japończyków.

Obawiać się można, aby przewidywania b. posła niemieckiego w Pekinie, autora umyślnej książki o Chinach, ich cywilizacyjnej, politycznej przyszłości i stosunku do Japonii i mocarstw europejskich, nie sprawdziły się obecnie, tylko z innych zupełnie powodów, niż powoływane przez niego. Znawca Dalekiego Wschodu mniemał, że zgnębienie Chin przez Japonię rozbudzi w tym kraju wstręt do cudzoziemców i wyrzuci na wierzch stronnictwo zachowawcze: taki właśnie skutek da się psychologicznie wysnuć z poniesionej klęski dyplomatycznej. Oryginalna reakcya objawia się w publicystyce francuzkiej — coś jakby rozwaga nad czynem już po jego spełnieniu. Wybitniejsze umysły przyznają, że Francya musiała pójść przeciwko Japonii, ale miała dla niej sympatyę i mieć jej nie przestanie. Interpelowany d. 31 maja w senacie p. Hanotaux dał odpowiedź, że Francya kierowała się tylko własnym interesem. Dobro jej byłoby zagrożonem, gdyby nie wystąpiła przeciwko traktatowi chińsko-japońskiemu. Minister mógł tu mieć na myśli stosunki handlowe, których nowe urządzenie wskutek wystąpienia mocarstw, ukrywa się ciągle jeszcze w głębokim cieniu.

Uczestnictwo francuzkie w uroczystościach Kielskich minister spraw zagranicznych sprowadził do prostej tylko uprzejmości między państwami, nie zostającemi przecież w stanie wojny. Według dzienników, uroczystowanie paradyerów morskich francuskich w Kielu będzie jak błysk przemijającem. D. 25 b. m. przypada rocznica zamordowania Carnota. Rząd francuski postanowił całą armię i flotę powołać do obchodu żałobnej pamiątki na całe cztery dni od 24-go do 27-go czerwca. Okręty, które odpłyną na otwarcie kanału, będą musiały wieczorem 21-go już wyruszyć z powrotem, aby stanąć na czas u brzegów Francyi, a z ich tylko udziałem ma być smutna rocznica obchodzoną. Posłanie floty jedynie na dwa dni nada uczestnictwu Francyi charakter demonstracyjnej oziębłości. Wszystko to dopiero w projekcie dziennikarskim.

W Dżedda w Azyi Mniejszej, a podobno i we właściwem Dżyddah w Hedżasie nad morzem, w Arabii, agenci dyplomatyczni Rosyi, Francyi i Anglii, doznali pokrzywdzeń, jakoby nawet z obrażeniami na ciele, życie bodaj jednej z ofiar napaści miało się znajdować w niebezpieczeństwie. Wiadomości bardzo mętne potrzebują dokładniejszego określenia.

---

1)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 1.

Morze wykopało sobie pod progami olbrzymich skał półkuliste łożysko, w którem drzemało uśmiechnięte w blaskach słońca, poruszając spokojnie piersiami swych fal. Dzikie wichry północne, rozdarte w przelocie na ostrych szczytach, rzucały czasem oderwany strzęp lodowego podmuchu w dolinę i wyjąc, uciekały pokaleczone. Nawet wiatry zachodnie, wyczesane z cierpkich prądów grzebieniem gór, spadały w pasmach lekkich powiewów na obnażone i gorące łono zatoki, które orzeźwiały miłym chłodem. Było w niej zwykle jasno, ciepło i cicho; to też ulubione dzieci losu tłumnie szukały w Datali wygody, rozrywek i zdrowia, zamieszkując przez czas wiosny małe, śliczne domki, które usiadły w gaju, jak stado pardw. Wczesny ranek nie zaludnił jeszcze wybrzeża, które było miejscem spotkań i zabaw. Na pustej krawędzi placu stali tylko Heron i Astjos, a w dali od nich wyzwoleniec i niewolnica, którzy przed chwilą pożegnali odpływającą na okręcie Orlę.

Astjos.

Gdyby była wstrzymała się choć parę tygodni, odwiózłbym ją do rodziców. Ale zaledwie tu przyjechałem i jeszcze nie zdążyłem nawlec trzech paciorek, już musiałbym wrócić do domu na przeklętą nudę z niewolnicami, które wyczerpałem u siebie i u wszystkich znajomych. Czy jesteś pewien, że Orla sama z załogą bezpiecznie dojedzie?

Heron.

Bądź spokojny, to bogini sług. Każdy z nich nie pozwoli mówić głośniej zaskrzeczeć koło niej. Uważałeś przecie, że szła do portu obok lektyki, bo nie chce ich trudzić, gdyby ją nieśli. Widzisz tego młodego gawrona, który ściga wzrokiem okręt: jest to Tarlon, wyzwoleniec, mój rządca; ręczę ci, że sobie w tej chwili przemywa brudne oczy łzami. A za nim stojąca niewolnica, której kazałem pozostać, bo mi potrzebna, zapewne także skomli. Tak wszyscy domownicy i czeladź za nią przepadają. Ci, którzy ją rzadko widują, uważają za święty ten dzień, w którym ją zobaczą. Podobno nawet krąży między moimi majtkami opowieść, że jest ona córką fregaty, ptaka morskiego, który nigdy nie siada na ziemi i ciągle buja w powietrzu, a raz w roku spada na wodę i znosi dwa jajka, z których się wylęga para najlepszych ludzi. Naturalnie ja nie pochodzę z tego gniazda.

Astjos.

Zdaje mi się, że przesyła z pokładu ręką pożegnanie.

Heron.

Ha, ha, ha! Ty jesteś młodszy ode mnie nietylko o kilka lat, ale o wiele doświadczeń: dopiero wiesz, do czego kobieta służy, ale jej jeszcze nie wiesz, czem jest.

Astjos.

A jednak, wczoraj przybyła mi do zbioru setna dwudziesta paciorka.

Heron.

Jeszcze mało. Musisz przynajmniej raz ożenić się. Więcej mądrości nauczy cię jedna żona, niż tysiąc kochanek.

Astjos.

Przesada!

Heron.

Według ciebie tedy, Orla, stojąc na pokładzie okrętu, pozdrawia mnie?

Astjos.

No, może i mnie.

Heron.

Żadnego z nas. Ona prawdopodobnie pozdrawia słońce, morze, góry, ryby i ptaki, które się uwijają około statku, albo ja wreszcie wiem — co! Żyję z nią przez lat osiem, ani razu nie zgadłem, dokąd zwróci swój zachwyt. Zapamiętałem tylko troszkę, czego nie lubi: niewolnictwa, wystawnego życia, zbytku, zabaw, wszystkiego, co jest związane z naszem położeniem społecznem. Wysilam się na najwyższą dla niej grzeczność — zadąsana; jestem obojętny — zadąsana; siedzę w domu —

Turcya odrzuciła ułożony przez mocarstwa opiekujące się Armenią projekt reform w tym nieszczęśliwym kraju. *Standard* wzywa do postawienia opornemu turkowi *ultimatum*. Nie jest to głos stronnictwa zachowawczego, którego przekonania dziennik ten wyznaje. Raczej liczyć-by się wypadało z głosem Salisbury'ego, który kilkanaście dni temu ganił wogóle całe wystąpienie, jako z góry skazane na zawód. Dziwna rzecz, że mógł to mówić człowiek, który rządził już i rządzić jeszcze będzie Anglią, jakby zapomniał o traktacie z d. 4 czerwca 1878 r. o Cypr i o poręczeniu azyatyckich posiadłości Turcyi. Czyż pierwszem prawem poręczyciela nie jest domaganie się takiego stanu, przy którymby Turcya z własnej woli nie zwalała na Anglię ciężaru skutecznej obrony poręczonych posiadłości? Gdyby nawet Europa cała milczała, Anglia sama jedna działać miałaby obowiązek.

Wybory uzupełniające we Włoszech odbyły się w niedzielę. Na 508 wybranych już w zupełności jest 17 nieujętych, 491 z określoną barwą: 336 kryspijczyków i wogóle rządowców, 155 nieprzyjaciół Crispiego i rządu. W dodatkowem głosowaniu przeszło stosunkowo wielu republikanów demokratów i socyalistów. Wogóle im silniej stać będzie p. Crispi i jego system, tem głębiej wrywać się musi opozycya antimonarchiczna w naród. Wybierano w niedzielę w 57 okręgach.

BADANIA NAUKOWE.

MATEMATYKA W EKONOMICE.

Nauka gospodarstwa społecznego, zamiast być umiejętnością ścisłą o jednolitej teoryi, przedstawia jeszcze po dzień dzisiejszy pole walki, na którem ścierają się różne pojęcia i definicye... Charakterystyczną jest ta okoliczność, że walka toczy się o przeróżne drobne szczegóły, podczas gdy tła ogólnego, na którem musiałyby one wystąpić, niema zupełnie. Stąd tyle szkół ekonomii społecznej i tyle różnych sprzecznych definicyj na jeden i ten sam temat."

Temi słowy ktoś utyskuje na obecny stan ekonomiki, podobnych zaś skarg jest bez liku. Malkontenci rozmaicie tłomaczą ów bezład w ekonomii, wszyscy jednak sądzą, iż zastosowanie do niej metod ścisłego rozumowania rozproszy te wady. Pogląd to nawskróś mylny, bo teoryom o gospodarstwie narodowem bynajmniej nie zbywa na logice wywodów, zamęt zaś, o ile istnieje, wypływa ze źródeł głębszych, gdyż jest wynikiem natury ustroju społecznego. Zjawiska ekonomiczne bynajmniej nie odznaczają się charakterem powszechności i bezwzględności, jak badane przez fizyków lub chemików. Przeciwnie, są one funkcyą czasu i miejsca, tj. podczas każdej fazy rozwoju społecznego występują z innem obliczem i przedstawiają się odmiennie. Zwróćmy się np. do dawnej zadrugi serbskiej, która nic zgoła nie sprzedawała ze swoich produktów na zewnątrz, ani nic nabywała przedmiotów; istniał tam warsztat pracy, ziemia, istniały narzędzia, ale te rzeczy nie były przeciwstawiane sobie, produkcya zaś miała na widoku nie zyski, lecz spożycie. Mienie ówczesne wyglądało zgoła inaczej, aniżeli w epoce dzisiejszej, w której zostało wyrażone w jednostce pieniężnej i obrócono nie na zaspokojenie bezpośrednich potrzeb wytwórcy, ale dla produkcyi przedmiotów na rynek—różnica dość pokrewna istniejącej pomiędzy słowikiem, ćwiczącym swoje gardło w ciszy leśnej, i tenorem, który swój głos sprzedaje. Zbyteczna dowodzić, że powinniśmy bardzo skrupulatnie uwzględniać te różnice dziejowe, bo zmieszanie zaprowadziłoby nas w analizie na bezdroża. W zadrudze istniały przedmioty, ale nie było towarów, było mienie, ale kapitał był nieznany, jeśli ostatnią nazwą ochrzcimy środki produkcyi, przeznaczone do wytwarzania zysków. Przysporzenie mienia przez pracę występowało pod postacią dóbr materyalnych: pewnej ilości stert zboża, sztuk przychówku, motków przędzy; skutkiem tego nie można było otrzymanego przyrostu przeciwstawić pierwotnej wielkości mienia w formie odsetek, bo nie było tam wspólnej skali mierniczej: pieniędzy. Ludziom z tego okresu, jak dowiodły odnośne badania, wprost trudno zrozumieć istotę i prawne zasady procentów. Z konieczności więc w różnych epokach historycznych, względnie dla różnych formacyj tej samej epoki, „definicye" i pojęcia ekonomiczne muszą brzmieć zgoła odmiennie. Nie wszyscy o tem pamiętają, niektórzy zaś posiadają nawet interes, aby o tem nie pamiętać. Społeczeństwo bowiem opiera się na sprzeczności interesów, i kategorye ekonomiki, będąc sformułowaniem stosunków z czyjegoś punktu widzenia, przybierają odpowiednią postać. Te przeciwstawiające się nawzajem widnokręgi nie godzą się pomiędzy sobą, a stąd w naszą o gospodarstwie występuje aż tyle szkół ekonomii politycznej. Są one odźwierciedleniem każda pewnej grupy interesów społecznych, nie chcącej, niekiedy zaś nie mogącej inaczej spojrzeć na sferę gospodarstwa narodowego. Błądzi, kto mniema, że w sporze pomiędzy ekonomistami idzie tylko o różne szczegóły drobnej wagi. Takie stawianie kwestyi dowodzi zupełnej nieznajomości nietylko istoty ustroju społecznego, ale również powierzchownego wejrzenia w samą ekonomikę. Tam nie chodzi o szczegóły! Spór o drobiazgi zasłania sprzeczność zasadniczego stanowiska klasowego, z którego przyglądamy się zjawiskom ekonomicznym. Logika i stosowanie najściślejszych metod nie usuną sprzeczności.

Naturalnie ci, którzy winę bezładu w ekonomii politycznej składają na nieścisłość stosowanych w niej metod, podają środki zaradcze. „Naukę gospodarstwa społecznego przekazano na wszechnicach wydziałom prawniczym, których słuchacze nie mają sposobności do dalszego kształcenia się w naukach ścisłych... Trudno bowiem żądać od ekonomisty-prawnika, aby się wyrzekł metody, którą sobie przyswoił, a natomiast traktował przedmiot z matematyczną ścisłością, jak to czynimy np. w fizyce... Matematyk szuka zawsze najdalszej, tj. zasadniczej przyczyny każdego zjawiska, podczas gdy ekonomista-prawnik zadawala się wyszukaniem przyczyny najbliższej, byleby chwilowe stosunki istnienie tej przyczyny usprawiedliwiały (np.

---

kaprysi; wyjeżdżam — kaprysi. Niby niczego nie żąda — a ciągle niezadowolona. Gdy do spełnienia jej woli zbraknie jakiejś cząsteczki, wpada w niemą rozpacz. A przytem ciągle uroczysta. Wszystko zamieniłaby na świątynie i wszędzie stawiała ołtarze, chociaż dotąd nie wybrała sobie boga. Cokolwiek powiem — zawsze wysłucha z lekceważącem zdziwieniem. Gdybyś dmuchając we flet, wydobył z niego ryki piorunu, nie miałbyś większej niespodzianki nad te, jakich ja codzień od niej doświadczam. Po prostu nie rozumiemy się.

Astjos.

A przecież ty tak umiałeś opanowywać kobiety!

Heron.

I umiem, tylko wobec tej jednej, wobec żony, zawodzi mnie cała moja sztuka do tego stopnia, że prosty ogrodniczek, który jej poda bukiecik kwiatów, bardziej ją zadowoli, niż ja wszystkiemi mojemi staraniami. Przynajmniej uśmiechnie się do niego i podziękuje. Czy ona i w dzieciństwie była dziwaczką?

Astjos.

Miała odmienne od nas wszystkich upodobania, ale była wesoła. Zresztą nie obserwowałem jej uważnie, gdyż mnie wogóle nie zajmowały kobiety bezużyteczne, a do nich należy siostra. Po co ona pojechała do rodziców, kiedy ją upewniłem, że są zdrowi?

Heron.

Pytałem. Tęsknię do innego życia — odparła — chciałabym także odwiedzić kilka drzew, które mi są drogie. Bądźże mądrym z tej odpowiedzi!

Astjos.

Nie podejrzewasz jej o jakąś ukrytą miłość?

Heron.

I o tem myślałem, ale chyba w waszej okolicy nikogo nie ma...

Astjos.

Ile razy przyjedzie, ciągle chodzi samotna po polach i lasach.

Heron.

Przed kilku dniami zaczęła z niezwykłem ożywieniem mówić o tym waryacie, czy oszuście, który w waszej okolicy zebrał gromadę oberwańców i uczy ich nowej religii — jak on się nazywa?

Astjos.

Arjos.

Heron.

Tak, Arjos. Ten włóczęga, który już dawno powinien zawisnąć jako owoc suchego drzewa, olśnił ją. Bo ona zawsze ma jakąś słabość do najgorszych mętów ludzkich.

Astjos.

E, to chwilowy kaprys. Nie opierają się jej w niczem — więc grymasi.

Heron.

Gdzie tam! Wiesz, co mi powiedziała przy rozstaniu? Bądź szczęśliwy beze mnie, bo ja już nie wrócę.

Astjos.

Zwykłe pogróżki żon, które mają uległych mężów i dobrych rodziców.

Heron.

Że też bogowie, stwarzając kobietę, nie mogą nigdy ustrzedz się, ażeby im zły duch czegoś do niej nie domieszał. Ja kocham Orlę i rozdział z nią sprawiłby mi wielką przykrość, ale — wyznam ci szczerze — zraniłby śmiertelnie moją dumę. Być wzgardzonym i porzuconym przez każdą kobietę—nieprzyjemnie, a przez żonę—okropnie.

Astjos.

Po co ty koniecznie dorabiasz tragiczny sos do drobnego nieporozumienia? Ja, niedość jeszcze ukształcony twój uczeń, nie pojmuję, ażeby mnie jakakolwiek kobieta lub okrywka opuścić mogła, dopóki chcę ją posiadać. W stu dwudziestu paciorkach nie mam ani jednej z takiem wspomnieniem.

Heron.

Pokażże mi raz ten zbiór, którym się tak przechwalasz.

Astjos odchylił tunikę, pod którą na gołem ciele nosił dwa sznury paciorek, przewieszone skośnie przez ramię i piersi.

Rozmaitość wielka — tylko troszkę za dużo drewnianych.

Astjos.

No, mój drogi, trudno, ażeby dla mnie rodziły się tylko owce z cienką wełną, zwłaszcza że te, od których dostałem kulki drewniane, były nieraz więcej warte od tych, które mi ofiarowały złote. Jedna niewolnica, którą dostrzegłem u Kripona, warta bogini! Dawałem mu za nią pięć wołów — nie chciał. Zresztą, jak widzisz, są tu i perły od pięknych pań.

zwyczaj).“ A zatem całe nieszczęście ekonomiki tkwi w tem, że ją przekazano prawnikom! Niewątpliwie ich frazeologia oddziaływa ujemnie na ekonomię polityczną i wnosi do niej zasadnicze cechy kazuistyki jurydycznej. Swoją drogą, związek ów jest normalniejszy i pożyteczniejszy dla nauki o gospodarstwie narodowem, aniżeli gdyby przekazano ją wydziałowi matematycznemu. W obecnem sprzężeniu, z teoretycznego punktu widzenia, jedna rzecz tylko jest wadliwą: zamiast czynić ekonomię dodatkiem do prawa, należałoby je rozpatrywać jako rezultat rozwoju gospodarczego, jest ono bowiem zawsze sformułowaniem stosunków pomiędzy ludźmi, wywołanych przez takie lub inne ukształtowanie sił wytwórczych w społeczeństwie. Ale wybierając z dwojga złego, musimy przyznać, że dla ekonomii politycznej korzystniej jest, iż połączono ją z prawem, niż z matematyką, która z równą słusznością może się dopominać o to, ażeby jej powierzono fizyologię, chemię, wogóle całą wiedzę, bo ostatecznie wszędzie można wsadzić wzór matematyczny. Analiza matematyczna jest rodzajem nożyc, ułatwiających strzyżenie runa. Sposób ich użycia dzisiaj jest tak skomplikowany, że stanowi on całą umiejętność, zastosowanie zaś w niektórych dziedzinach wiedzy, mianowicie w nauce o przestrzeni i o ruchu, jest tak obszerne, że dla wielu utraciły one swój charakter przyrodniczy i zamieniły się na nauki „matematyczne.“ Ale ta zastosowalność ustaje, gdy wstępujemy w bardziej złożone sfery działalności, tj. w te, w których na otrzymanie pewnego objawu składa się mnóstwo przyczyn. Tak dzieje się w zakresie zjawisk ekonomicznych. Ilekroć zaś matematyka bywa tam stosowaną, np. w teoryi renty gruntowej (obliczenie v. Thünena), poprzestaje ona na prostym obrachunku, który winien unaocznić szczególne przypadki zasady ogólnej. Proste działania są tam wystarczające. Żukowskij wprowadził nawet całki — po to tylko, ażeby przy ich pomocy powiedzieć to, co bez ich użycia dałoby się wyrazić jaśniej i prościej. W ostatnich czasach Valras i Jevons wystąpili z propagandą „ścisłości“ i wzorów matematycznych. Ale wszystkie te próby nie posunęły i nie posuną ekonomiki naprzód. O ile nie idzie o dokonanie pewnego obrachunku, ale o istotne zastosowanie i wykrycie nowych praw, wszystko sprowadza się wtedy do rzeczy tak ogólnych i oderwanych, iż otrzymane rezultaty stają się prawdą jałową. Ażeby to wykazać, zatrzymamy się nad rezultatami, do których doszedł p. T. Rozmarynowicz. Najważniejsze „momenty“ jego pracy przedstawiają się jak następuje:

1) Gospodarstwo społeczne jest funkcyą, której zmiana przejawia się w przybytku lub ubytku mienia społecznego.

2) Jedyną zasadniczą przyczyną zmiany mienia społecznego jest wzrost lub ubytek ludności.

3) Wartością społeczną jest sam człowiek, który tworzy mienie społeczne; liczebnym wyrazem tego mienia jest suma produkcyi.

4) Ustawiczne narastanie mienia społecznego jest przyczyną istnienia odsetków.

5) Czynnik, mnożący mienie społeczne, tj. czynnik procentujący, jest liczebnym wyrazem natężenia społecznego.

6) Natężenie społeczne maleje w miarę rozwoju społeczeństwa i zdąża do granicy=1, tj. społeczeństwa ludzkie dążą do osiągnięcia stanu niezmiennego.

7) Ideałem społecznym jest osiągnięcie przeciętnego natężenia całej ludzkości, dla uniknięcia zboczeń.

Przytoczyliśmy dosłownie tę litanię „momentów,“ mających nas przekonać o zaletach matematyki w ekonomii. W gruncie rzeczy, gdyby nauka o gospodarstwie społecznem poprzestała na czemś podobnem, wprost nie istniałaby jako nauka! „Gospodarstwo społeczne jest funkcyą, której zmiana przejawia się w przybytku lub ubytku społecznego mienia.“ Ściśle to, wzorowo nawet ściśle wyrażenie świadczy o dokładnym sposobie rozumowania autora, ale niestety, gdyby ktoś rozpoczynał naukę o gospodarstwie od takich ogólników, nie wiele dokonałby, bo jest to prawda tego rodzaju, jak dla historyka filozofii istnienie samej filozofii. Dalsze formuły (prócz dwóch ostatnich, nad któremi nie będziemy się zatrzymywali) są również tego samego rodzaju zasadami, tj. ogólnemi prawami, które powszechnie służą za punkt wyjścia dla wywodów ekonomicznych—milcząco, bo zbyteczną byłoby rzeczą je powtarzać, tak samo jak geolog nie powtarza, że podstawą jego studyów jest istnienie ziemi. Trzy pierwsze prawdy, przetłomaczone dowolnie na język zjawisk geologicznych, będą brzmiały:

1) pokłady geologiczne są funkcyą istnienia ziemi;

2) jedyną zasadniczą przyczyną istnienia pokładów jest czas;

3) dziejową jednostką kory ziemnej jest pokład pojedynczy.

Tak, nie ma tu błędów, co więcej jest ścisłość, lecz nie ma pożytku. Otóż zawsze tak bywa z matematyką w ekonomice, przynajmniej innych wypadków nie znam, prócz obrachunków. Twierdzenia, lubo słuszne, są bez faktycznej treści, będąc zaś dobre dla wszystkich czasów i miejsc, przestają cokolwiek wyjaśniać. Rozważmy tak prawdziwe, lecz jednocześnie tak jałowe twierdzenie, iż ustawiczne narastanie mienia społecznego jest przyczyną istnienia odsetków. Z tego powodu p. Rozmarynowicz udziela nagany dotychczasowym ekonomistom w sposób następujący: „Definicya ekonomii społecznej w tej mierze opiewa: odsetkiem nazywamy wynagrodzenie, płacone za użycie kapitału. To znaczy, że przyczyną istnienia odsetków jest użycie obcego kapitału. Dla prawnika, roztrząsającego np. jakiś spór o odsetki, jest powyższa definicya zapewne wystarczająca. Ściśle jednak rzecz biorąc, jest ona zupełnie podobna do takiego np. określenia: Deszcz powstaje wskutek zjawienia się czarnej chmury... Matematyk (dlaczego tylko matematyk?) musi zadać sobie pytanie, skąd się wzięła owa czarna chmura, z której powstał deszcz, z drugiej zaś strony musi również zastanowić się nad tem, skąd pochodzi zwyczaj żądania odsetków, w jaki sposób powstają odsetki i od jakich czynników zawisła ich wysokość.“

Niestety, w całej tej sprawie najniesłuszniej skrzywdzono ekonomistów. Chociaż pomiędzy nimi było bez liku prawników, niewielu zaś matematyków, chociaż właśnie rodowód odsetków to kwestya obfitująca, skutkiem ukrywającego się pod nią antagonizmu interesów, w najsprzeczniejsze definicye, te przecież obrońcy ma-

---

Heron.

Więc każda musi ci dać taką pamiątkę?

Astjos.

Każda, bo wszystkim przyrzekam, że pod tym tylko warunkiem będę im wierny.

Heron.

A sam nie nawłóczysz sobie paciorek dla zwiększenia liczby?

Astjos.

Za kogo ty mnie masz, Heronie! Na honor przysięgam, ani jednej! Cóż to, nie jestem dość ładny na to, ażeby mieć u kobiet wielkie powodzenie?

Rozpiął i zsunął do bioder tunikę.

Przypatrz się! Nawet śród Godonów jeszcze takie ręce, piersi i ramiona mają znaczenie.

Heron.

Prawda, ale posłuchaj mojej życzliwej i doświadczonej rady — bądź w stosunkach z kobietami oszczędniejszym, żebyś nie potrzebował, jak ja, przedwcześnie być skąpym.

Astjos.

Mam jeszcze dużo czasu, w którym mogę być rozrzutnym. Co dziś robimy? Już okręt z Orlą zniknął — jesteś swobodnym.

Heron.

Dziś nie podoba mi się ta swoboda. Czuję jakiś ochwat.

Astjos.

Nie poznaję cię, mój szwagrze. Skrzypisz, jak wóz nienasmarowany. Pamiętaj, że przyjechałem po to, ażeby się bawić i liczyłem, że ty mi pomożesz.

Heron.

Niech tam będzie! Bierz licho żale! Albożto ja komin, w którym byle wiatr jęczeć może! O ile pamiętam, nigdy w życiu nie płakałem, więc już uczyć się tego nie będę.

Astjos.

Tak, to co innego.

Heron.

Jeżeli nawet Orla mnie opuści, to ja jej pokażę, że jeszcze ładne kobiety mijać Herona nie będą.

Astjos.

Naturalnie!

Heron.

Tarlon! Tarlon! Hej! Nie mówiłem ci, że i ten wyzwoleniec posłał za nią duszę. Utopił oczy w morzu i stoi głuchy, jak słup do przywiązywania łodzi. Tarlon! Nie słyszy. Wreszcie niewolnica go obudziła. Tarlon!

Tarlon.

Jestem.

Heron.

Dwa konie z jednym niewolnikiem tu dla nas zostaną. Ty wracaj do domu.

Tarlon.

A Ega?

Heron (do Astjosa)

Czy chcesz ją zatrzymać?

Astjos.

Po co? Domową kurę zawsze zjeść można, zwłaszcza gdy gospodyni nie ma. Trzeba tu zapolować na dziką zwierzynę.

Heron (do Tarlona).

Zabierz ją z sobą.

Astjos.

Ale nie dla siebie.

Tarlon.

Słucham.

Heron.

Nie obawiaj się. U mnie jest porządek, i gdyby niewolnik, a nawet wyzwoleniec tylko, pocałował niewysortowaną niewolnicę, kazałbym te zaloty opisać na jego skórze.

Tarlon z Egą odeszli, rzuciwszy raz jeszcze spojrzenie na morze w kierunku, w którym odpłynęła Orla.

A teraz przedewszystkiem dla poprawy humoru musimy coś zjeść, bo jestem tak głodny, jak głowa plotkarki rano. Niedaleko stąd ma zakład kucharz, który przyrządza doskonałą pieczeń z płatów, odkrawanych żywcem żółwiowi i smażonych na jego skorupie.

Astjos.

Czy nie za wcześnie jeszcze na ten przysmak?

Heron.

Więc co innego?

Astjos.

Może gorące wino z daktylami?

Heron.

Za ciepło. Poczekaj, idzie ku nam stary Pirus, mistrz dobrego życia, który siedemdziesiąt lat wysysa z niego najlepsze soki — on nam poradzi.

(D. c. n.).

tematyki *nie zdołają* wskazać mi ani jednego ekonomisty, któryby nie wiedział, że podstawą („przyczyną"!) istnienia odsetków jest ustawiczne narastanie mienia społecznego, lub ściślej: wytwarzanie większej liczby dóbr, aniżeli poszło na koszty produkcyi. Nawet frazeologowie ekonomii pospolitej, usiłujący zagmatwać rzecz całą, wiedzą o tem dobrze. Nie zawsze się to mówi, bo bądź co bądź jest to rzecz sama z siebie zrozumiała. Natomiast ekonomista zarzuciłby „matematykowi" to, że swoją ogólnikowością wprowadza nieścisłość i mnóstwo różnych kategoryj miesza z sobą. Rozpocząłby on od wykazania, że należy kwestyę rozpatrywać odrębnie dla epoki gospodarstwa pieniężnego i dla okresu stosunków naturalnych. W tym ostatnim istniało narastanie mienia, ale nie było odsetek, bo nie było wspólnego miernika wartości. Pojęcie o odsetkach zjawić się mogło dopiero wraz z pieniędzmi. I zamiast wzoru, stosującego się do wszystkich miejsc i czasów, wprowadziłby definicyę ściślejszą: mienie społeczne ustawicznie narasta, ale przyrost tylko podczas pewnych epok historycznych daje się wyrazić jako odsetki, tj. wyrazić w tych samych jednostkach jak mienie pierwiastkowe. Wreszcie w gospodarstwie pieniężnem, w którem dochód może przybrać postać odsetkową, zachodzi nowe pytanie, zupełnie zaciemnione przez p. T. R., bo daje on dowolną definicyę odsetek. Nie odpowiadają one zgoła temu, co życie i ekonomia nazywają procentami, ale temu, co ochrzczono nazwę: *Mehrwerth*, tj. całemu rocznemu przyrostowi mienia po pokryciu kosztów produkcyi. Ale owa *Mehrwerth* rozpada się na mnóstwo kategoryj: na rentę ziemską, premię za ryzyko i wreszcie na to, co nazywamy procentami, lub—jak mówi pospolita ekonomia, „wynagrodzeniem za pożyczony kapitał." Dla ekonomisty twierdzenie, że przyczynę odsetków stanowi narastanie mienia, jest zupełnie jałowe, bo jemu idzie o prawa rozpodziału tego przyrostu, i różnice definicyj dotyczą właśnie tego punktu, w którym sprzeczne interesy najbardziej walczą z sobą. Matematyka zaś tak odbiegła od życia, iż przestała coś dawać, podobnie jak odbiega metafizyk, dowodzący, że kamień i człowiek są jednako bytami.

Staraliśmy się zaznaczyć jałowość dotychczasowych zastosowań matematyki w ekonomice, oraz błędność „matematyczną" punktu widzenia, iż słabe strony ekonomii wypływają z braku ścisłości. Na udowodnienie było za mało miejsca, sądzimy jednak, żeśmy wykazali, że ogólniki, otrzymane przez matematyków, nie dają żadnej treści i nic faktycznie nie wyjaśniają w rozwoju praw, rządzących sferą wytwarzania.

K. R. Z.

LITERATURA I SZTUKA.

KULTURA ENERGII.

M. Barrès. *Du sang, de la volupté et de la mort.* Paryż, 1895.

Stendhal marzył niegdyś o napisaniu historyi energii we Włoszech. Jego uczeń Barrès, filozof zblazowany na wszystko oprócz energii, sądzi wszakże, iż Włochy są zbyt złożone i sztuczne. To Hiszpania, gwałtowna i pełna gryzącej rozkoszy, powinna stanowić pole dla badań odpowiednich. Toledo występuje jako obraz egzaltacyi w samotności, jako krzyk w pustyni. W jego okolicach bohater, Delrio, ma zamek nawpół zrujnowany, tragicznie wspaniały, wzbudzający skojarzenia myśli piękna i śmierci. Zajęty jest szeregiem rozmyślań i doświadczeń psychologicznych, kierowanych głównie smakiem energii. Sądzi, iż wynalazł metodę pewną wywoływania namiętności w duszach. Rozwój historyczny wydaje mu się dokonywanym przez wolę osobników, obecny stan rzeczy jest dla niego jednak tak mizerny, że nie warto brać w nim udziału czynnego. Strugi niezużytej poezyi nagromadzały się w nim. Pośród tych ruin pogrążał się w gorące marzenia, którym dał za przedmiot siebie samego. Rozgorączkowany, znajdował zadowolenie estetyczne tylko w potężnych rzutach Michała Anioła i Pascala, którzy mieli także duszę samotną i wytężoną. Z Delrio mieszka tylko siostra, dziewiętnastoletnia dziewczyna, która pod chłodną powierzchownością ukrywa namiętne serce, podatne do najpiękniejszych nieporządków. Jej dusza jest dlań najpiękniejszym z ogrodów, o bogatej roślinności, którą on starannie hoduje, a ponieważ namiętność jest prawdziwym rozkwitem duszy, czeka z niecierpliwością, aby ona w niej wybuchła. Obrał nawet w tym celu jednego ze swych przyjaciół, dość nieznacznego młodzieńca, jako tykę, koło której kwiaty jej duszy mają się owinąć, i z dwojgiem młodych ludzi, szukając pola godnego ich przyszłej miłości, udaje się w wędrówkę po Hiszpanii.

Sucha i nerwowa, spazmatyczna na północy, jest ona rozwiązła i zmysłowa na południu, potężny kontrast, z którego wyszedł geniusz ascetyczny świętej Teresy, dramaturgów, artystów i domów królewskich Hiszpanii!

Delrio chciał poddać tym wpływom potężnie sprzecznym swą Pię, spodziewając się znakomitych skutków psychicznych, wraz z rozkwitem namiętności. „Zrobię jej duszę—myślał—bardziej giętką i silną. Do niebiańskich darów melancholii i wdzięku dodam, w wieku, gdy wszystkie wrażenia w nas się wcielają, powagę i gorąco mistrzów wzniosłych, ku którym prowadzę ją za rękę."

Pokazał jej naprzód Eskurial, to „wyrażenie w granicie katolickiego pojęcia o śmierci." W krajobrazie ponurym wznosi się bolesna regularność klasztoru, który jest pamiętnikiem wiekuistym tajemniczej rozmowy pomiędzy despotą a Bogiem. A wnętrze! Wspaniałość złota w trupiarni—oto jedyna rozrywka, którą ono ofiaruje wyobraźni. Pod nieubłaganemi sklepieniami wszystko jest tu tak wzniośle tragiczne, iż naprożno szukamy czegoś, coby się zniżyło przynajmniej do melancholii.

Z tego mrozu Delrio przenosi duszę Pii odrazu do żarów Grenady. Jestto oaza pod słońcem afrykańskiem, przykryta parasolem, przepysznie haftowanym, drzew północnych. Chcąc wyzyskać wszystkie cnoty tej stacyi psychoterapicznej, bohater opowiada siostrze, przy oglądaniu pałaców marmurowych, przygody pełne miłości, strachu i rozkoszy, które zbroczyły te posadzki strugami krwi.

Na cygankach pokazywał jej bezmyślność orzeczenia, iż nie można kochać tego, czego nie szanujemy. Po wszystkich zakątkach Europy budzą one zmysłowość, pokrewną marzeniu nieczystemu, które poeci i malarze skrystalizowali koło Herodyady.

Z kolei przeszedł z nią do czytania namiętnych i wspaniałych poetów hiszpańskich, spodziewając się, iż pod wpływem całej tej kultury Psyche się obudzi, zapali pochodnię, by spojrzeć na Amora śpiącego i obnażonego.

Dopiął skutku. Dusza dziewczęcki buchnęła płomieniem, który—niestety — skierował się nie ku wybranemu przez brata, Lucyanowi, lecz ku niemu, Delrio... Biedne dziecko, nie mogąc opanować występnej namiętności, przeszywa sobie serce kulą.

Pod względem stylu, pełnego suchej elegancyi, opowieść ta jest brylantem w lekkiej złotej oprawie, ale, prawdopodobnie wbrew oczekiwaniu autora, Delrio czyni wrażenie co najmniej naiwnego pedanta. Ten głęboki psycholog, znający dokładnie całą mechanikę moralną, przeoczył, że nieznaczny Lucyan nie mógł biednej Pii oczarować i że, igrając niebacznie z jej sercem, musiał wywołać katastrofę. Kultura woli w znaczeniu Stendhala, a następnie i Barrèsa, nie ma nic wspólnego z obowiązkiem i wyższemi zadaniami. I owszem, kultura moralna i naukowa w bardziej posuniętych społeczeństwach musiała wywołać potężne zdenerwowanie i upadek woli. Stąd reakcya i podziwy dla energii bez różnicy, na co ona skierowana została i w czem się objawia, chociażby „w rozkoszy, namiętności i krwi." Taki Napoleon lub Byron—to olbrzymie wodospady — jak Niagara — z których znużone pokolenia czerpać będą energię. W Hiszpanii takim naturalnym jej zbiornikiem jest Don Juan. Autor ogląda w Sewilli, w klasztorze Miłosierdzia, wspaniałe płótno teatralne Valdesa Leal'a: trup biskupa i trup króla w rozkładzie, pożerane przez obrzydliwe robaki. Obraz ten był obstalowany i zapłacony przez Don Juana, Byronowskiego, Mozartowskiego kochanka tysiąca i trzech kobiet. Co za dziwne i pełne myśli zestawienie! Wiadomo, iż w XVII stuleciu żył potężny rozpustnik don Miquel de Manara Vicentello de Leca, który dla zadowolenia szału zmysłowego zabijał mężczyzn i wyciskał łzy kobiet, rozdartych pokusą i odtrąconych przez uwodziciela. Burze jego serca napełniły świat cały, i umarły jeszcze nas trwoży, gdyż był wzorem, z którego wyobraźnia poetów utworzyła Don Juana.

To on, don Miquel, skutkiem snu, w którym widział własny swój pogrzeb, skruszony żalem założył zakon Miłosierdzia dla pocieszania skazańców i chowania ich ciał: dawniej pozostawiano je na żer ptaków. Wielcy panowie, dworacy i artyści noszą na swych ramionach wisielców — myśl pełna przepychu artystycznego, godna wspaniałej postaci don Juana, która dotychczas roznamiętnia wyobraźnię ludu i poetów. Ten obraz i ten zakon co za potężne światło rzucają na duszę wielkiego zuchwalca! Rozkosz i śmierć, kochanka i sztylet, dwa ogniska bytu, tajemniczo spokrewnione w naszem wnętrzu. Psychologia oddawna wskazuje kręte ścieżki, którędy erotyzm wikła się z pobożnością. Don Miquel oddał się zawzięcie praktykom ascetyzmu. Valdes Leal zostawił jego portret; on nam psuje drogą pamięć tylo kochanego, który przyczynił się do wytworzenia jednej z najrozkoszniejszych legend nowożytnej uczuciowości. Don Juan przedstawia się w tym portrecie jako dusza bez komplikacyi, pełna mocy. Ten postrach bojaźliwych, zgorszenie mędrców i rozpacz kochanek, zbyt szybko opuszczonych, miał później się stać nawróconym, który rozprawia nad traktatem teologicznym, z podniesionym palcem i miną wojskowego w dymisyi. Co za okropność! Jeżeli taką była istotnie rzeczywistość, to wolimy legendę, czystą legendę, która jest tak obfitą w marzenia. To nie zwykły rozpustnik, lecz dusza niespokojna, demoniczna, naprożno szukająca duszy siostrzanej, któraby jego własną zdołała odpieczętować.

Taką jest legenda poetów. Don Miquel dorównał jej dopiero po śmierci. Dopiero na masce trupa, oglądanej przez Barrèsa, wystąpiła tu namiętność i powaga, które go zawsze napełniały, gdyż był to nie zmysłowy rozkosznik, lecz człowiek tęskniący do ideału i łączący bezowocną swą rozpacz z żalem tylu cierpień, sprawionych mimowolnie. Ach! jakże mu łatwo było żebrać dla biedaków, jemu, który tyle lat

naprôżno żebrał o własne swe szczęście! I jakże odmowy bogaczów były mu lekkie wobec łez tych, które nic miały mu nic do odmówienia! Może dlatego, po tylu ciałach młodych i rozkosznych, ramiona jego chętnie ściskały sine trupy straconych.

Maska gipsowa twarzy Don Juana przywołuje Barresowi do pamięci, dziwnym zbiegiem okoliczności, rysy Pascala. Jeden i drugi, nawracając się, oparli swą wiarę na postrachu śmierci i na rozczarowaniu. Może to były objawy głębszego pokrewieństwa duchowego, które wyraziło się w podobieństwie zewnętrznem. Zakonnice z klasztoru Miłosierdzia nie pozwalają zrysowywać podobizny Don Juana. Ten, kogo kobiety najbardziej namiętne nie umiały zatrzymać pomimo płaczu, jest dziś więźniem zimnych dziewic.

Do uczuć wzniosłych z punktu widzenia energii Barrès zalicza, obok miłości, nienawiść. Ona obdarza istoty nią owładnięte odrębnem pięknem. Skierowując działalność w jedną stronę, wywołuje w innych kierunkach bezinteresowność. Prawdziwa nienawiść zmiata w duszy wszystko drobiazgowe i może być źródłem dzieł wielkich. Tu przemawia poganin.

A oto inna zupełnie piosnka. Barres jest zdania, iż nawet ludzie całkiem pozbawieni wiary zachowują w miłości charakter chrześciański. Jest to prawo atawizmu moralnego, z pod którego nikt z nas wyłamać się nie potrafi. Miłość pod wpływem 2000-letniej kultury przybrała charakter religijno-idealny. Ona zawsze się łączy z myślą ofiary. „Po cichu przywołuję w mych życzeniach — powiada znużony kochanek o swej metresie — tę chwilę, gdy ona będzie starą, a ja jeszcze młody. Będziemy mieli oboje po 40 lat. Wówczas przestanie być dla mnie powodem częstej miernoty uczuć, a będzie gorącym pretekstem melancholii, którą wolę.“

Artysta ma prawo hodować w sobie uczucia najsprzeczniejsze: pogańską nienawiść i miłość chrześciańską, ale poglądy filozoficzne Barrèsa, jak to niżej zobaczymy, na tej sprzeczności nadzwyczaj cierpią.

Gdy cały świat chwali wątłych prymitywistów, wszystkich Memlingów i wszystkie cnoty zaspane, on się zachwyca przepychem włoskim, namiętnością, która nie drzemie i ma ruchy namiętności. Nawet w Holandyi, która pomieszcza na swych kanałach zamarzłe łabędzie, gdy Wenecya na swoich pomieszcza namiętne kobiety, lubi on, aby noc napełniła mrokiem zbyt drobnostkowe elegancye sztuki flamandzkiej, zostawiając tylko polot majestatyczny mas architekturalnych.

Będąc zwolennikiem największych nieporządków wewnętrznych, Barrès wymaga jednak, aby się odbywały pod powierzchnią najbardziej przyzwoitą. Trzeba ofiarować opinii taki obraz siebie, żeby mogła nam zachować szacunek, nie wyrzekając się swych zasad. Trzeba ułatwić cnotliwym zadanie być naszymi głupcami. Ta wiedza jest niezbędna dla tych, co chcą się posługiwać ludźmi. Położenie spowiednika wobec damy, która go przyjmuje w swym salonie i od której wysłuchiwał litanij grzechów, jest nader delikatne: nie trzeba stawiać społeczeństwa względem nas w położeniu tak fałszywem!

Takie jest wymaganie Barresa. Zobaczmy, czy je sam zachowuje. Większość jego opowiadań jest tego rodzaju, „qu'ils feraient rougir des singes.“ Związki kazirodcze, bigamia — oto przedmioty ulubione jego analiz, które otacza do tego nader przezroczystą pobłażliwością. Zaiste, ten człowiek nie ułatwia ludziom zadania być jego głupcami, jakkolwiek nie ulega wątpliwości, iż towarzystwo wymaga tylko zachowania pozorów i chętnie bywa ofiarą zamaskowanego łotra.

Kleopatra, ścinająca głowy swym kochankom jednej nocy, czyniła tylko ustępstwo moralności publicznej. Nasze społeczeństwo, o zwyczajach bardziej miękich, potępiłoby tę zbytnią surowość, ale i ono jeszcze wymaga, abyśmy zamiatali za sobą wszelkie ślady nieporządków.

Autor czuje widocznie sprzeczność, jaką przedstawiają jego dzieła i jego teorye, gdyż dodaje, iż te ostatnie nie są kultem obłudy i faryzeuszowstwa, lecz instynktem istotnej rozkoszy, która chce być ukrytą. Alcybiades obcinał ogony swym psom, nie jako ofiarę złorzeczeniu swych ziomków, lecz przez przyjemność wprowadzenia w błąd ich domysłów i przez smak elegancyi moralnej, który mu przeszkadzał używać czegokolwiek w sposób publiczny. Urządzał sobie życie nieznane i z rozkoszą był innym, niż się wydawał. Mieć życie podwójne, być i wydawać się, to pogłębia w sposób niesłychany rozkosz bytu. Chodzi tu zresztą nie o rzeczy zewnętrzne, nie o liczną garderobę i maski, lecz o rozmaitość duszy, o życie wewnętrzne i ukryte, nader bogate. Ale ku temu trzeba mieć powagę, która pozwala na wszelkie fantazye. Ta elegancya moralna, która z moralnością nie ma zresztą nic wspólnego, jest pochodzenia czysto Renanowskiego. Jest ona głównem dopełnieniem i wyrazem teoryi kultu naszego „ja,“ wystawianej z taką pompą przez Barrèsa — obiegła całą Europę i wszędzie znajduje zwolenników— która jednak, zdaniem naszem, jest dość płytką i nie opartą na żadnych głębszych podstawach. Indywidualizm ten wyraża się przygodnem nagromadzeniem w duchu osobnika wszystkiego, co pod rękę podpada. Wytwarza się w ten sposób prawdziwy bric-à-brac: śród zachwytów autora znajdujemy obok powyższej teoryi „posługiwania się ludźmi,“ „Opowiadanie o Ogrodzie Oliwnym,“ które ma być „punktem spotkania się elity ludzkiej.“

Kultura tego rodzaju, która uprawia jedną ręką to, co drugą niszczy, może się okazać gospodarstwem najbardziej rabunkowem. Jestto lecznictwo konowała, z którego owo słynne „ja“ w najlepszym tylko razie może wyjść z losem nieszczęsnej Pii; ją także poddawano empirycznie na przemiany zimnym i gorącym prysznicem. Prawdopodobniejszym jednak rezultatem będzie osłabnięcie wszystkich sił i bezwład, który albo się wzbrania „wzięcia udziału w mizerności obecnego życia,“ albo też się rzuca we wspaniałość epopei bulanżyzmu.

Cała teorya nie ma żadnych głębszych fundamentów, i jeżeli przyprzeć Barrèsa do ściany, z zapytaniem, co on rozumie pod tą „notre religion du Moi“—to mizernie się ukrywa za Wagnerem, „który nie pozwala nigdy swej istocie wewnętrznej odwrócić się od swego przeznaczenia.“ Tak odpowiedzieć—to znaczy marnie wykręcić się sianem. Sam Wagner nigdy nie potrafił rozstrzygnąć dylematu pomiędzy pogańskiem użyciem i chrześciańskiem poświęceniem, i to rozdarcie przechodzi jaskrawem światłem przez wszystkie jego dzieła. Naprôżno więc Barrès posyła nas w końcu swej książki do Wahnfied, aby „czcić na grobie Wagnera przeczucie nowej etyki.“ To są zwykłe frazesy.

Rozumie się, trudno żądać od literatów i artystów rozstrzygnięcia kwestyj, których nauka jeszcze nie rozstrzygnęła. Sztuka pięknych póz i pięknych słów ma sama przez się wielką doniosłość — i pod tym względem wszystkie książki Barrèsa są nader cenne, ale nie wymagajmy od niego więcej, niż dać może. Francuzi mają na to przysłowie.

L. W.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— *Dziejów powszechnych ilustrowanych* wyszły zeszyty 23—26.

— *Encyklopedya rolnicza* posunęła się do wyrazu „Komunikacye“ (zeszyt 45).

— Cezary Jellenta, *Wszechpoemat i jego dzieje*, str. 332, Warszawa, Centnerszwer.

— K. Jacobson, *Towaroznawstwo*, podręcznik dla kupców, przemysłowców i szkół handlowych, str. 190, Warszawa, Gebethner i Wolff. Wielka szkoda, że pożyteczna ta książka zbyt obfituje w błędy drukarskie (niesprostowane), i to takie, które (np. proszek *dynamitowy*, zam. *dyamentowy* itp.) nie uderzą w oczy zwykłego czytelnika.

— *Arcydzieł Szekspira* w wydaniu lwowskiem wyszły zeszyty 37 i 38.

— Rozalia Silberstrom, *Sara*, utwór sceniczny w 4 aktach, osnuty na tle stosunków spółczesnych.

— Józef Jankowski, *Lalka*, żart satyryczny wierszem. Warszawa. Wydanie miniaturowe, str. 79.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ANGLII I O ANGLII.

(Dokończenie).

Ostatnimi czasy do piśmiennictwa angielskiego weszło nowe pokolenie, młode, które wywołało przewrót zupełny. Dawniej dziennikarz był doświadczonym obywatelem, wykształconym mężem w sile wieku. *Pall Mall Gazette*, albo *Saturday Review* (tygodnik), niektóre miesięczniki miały prawdziwy sztab pierwszorzędnych w kraju talentów. Sprawozdawcy i krytycy czuli odpowiedzialność za siebie i za pismo. Z chwilą, gdy reportaż i *interview* stały się główną treścią czasopism, dobre i sumienne dziennikarstwo znikło z widowni. Dawne gazety przeszły w nowe ręce; tygodniki i miesięczniki zatrzymały tylko tytuły i okładki z przeszłości. Legion reporterów opanował kolumnami czasopism, a bardziej utalentowani z nich, pomimo braku wykształcenia, ale pełni pomysłów i znający nastrój ogółu, objęli berło „wychowawców i kierowników.“ Młodzi zawładnęli czasopismami, młodzi zaczęli „pisać książki,“ młodzi także ujęli pędzel lub dłuto, wyzywając do walki akademików. Nowe pokolenie wzięło się za ręce i zaprzysięgło sobie wzajemne... *log-rolling*. Tajemnicze to słowo było dawniej nieznane w Anglii i przepłynęło przez Atlantyk z kraju, gdzie młode także siły ujęły ster życia społecznego. Dosłownie amerykanizm ten oznacza „toczenie zrąbanego drzewa.“ W Kanadzie mianowicie, przy wyrębach, gdy trzeba toczyć zrąb na brzeg rzeki lub morza, robotnicy zawiązują rodzaj stowarzyszenia. W polityce lub literaturze *log-rolling* oznacza nasze „towarzystwo wzajemnej adoracyi,“ ale nie dla samej sławy tylko, jeno i w celu zysków.

Log-rolling wobec opanowania prasy przez solidarnie występujące rzesze młodych pisarzów zabiło wszelką krytykę, wszelką kontrolę publiczną i spaczyło zupełnie stosunek dziennikarstwa do zjawisk życia społecznego i umysłowego. X. należy do bractwa i został wybrany na posła do Izby Gmin; czasopisma, kierowane przez członków bractwa, codziennie mówią o X., o jego zdolnościach, jego przyszłości, jego geniuszu. A, B., C. i inni z bractwa, piszą powieści lub poezye; czasopisma, w których D., E., F. etc. są kierownikami lub sprawozdawcami, uprawiają systematyczne log-rolling. Przedewszystkiem zjawiają się podobizny młodych pisarzów, różne *interview* z nimi. Zdawałoby się, że A., B., C. zostali wyroczniami narodu. Każda nowa powieść, każdy nowy wierszyk członków bractwa jest „olbrzymim tworem,“ „wielkiem przedsięwzięciem,“ „objawieniem,“ „arcydziełem prozy,“ „perłą literatury“ itd. *). Spotykamy te banalne

*) Zupełnie jak u nas. *Red.*

i zarazem nieuczciwe oceny nietylko w gazetach, obok ogłoszeń różnych pigułek, ale w poważnych tygodnikach, a nawet w znanem piśmie *Athenaeum*. Prasa codzienna zaprowadziła obszerny dział literacki właśnie w tym celu, aby módz uprawiać *log-rolling*. Tymczasem zasada podziału pracy wyrobiła wprawnym recenzentom renomę i sławę „sprytnych“ krytyków. W samej rzeczy trzeba mieć spryt codziennie zdawać sprawę z *kilku* dzieł. Wszystkie więc pisma, nawet najbardziej poważne i najstarsze tygodniki literackie, otrzymały jako sprawozdawców wszystkich tych „sprytnych“ krytyków, którzy codzień wrzucają do kosza sumienne prace, a stawiają na piedestał bezwartościowe ramoty. W przeciągu ostatnich dziesięciu lat mieliśmy tu prawdziwy deszcz geniuszów i gwiazd pierwszorzędnych. *Daily Chronicle* naprzykład ukoronowało przynajmniej setkę geniuszów, którzy zresztą byli tak wspaniałomyślni, iż odpowiednio pomnożyli tę liczbę słońc na horyzoncie piśmienniczym. Żeby zrobić miejsce nowym „talentom,“ aby uzyskać dla nich popyt na rynku, trzeba było lekceważąco odzywać się o uznanych już dawniej mistrzach. Nie przeczymy temu, iż krytyka była nieraz słuszną, ale wobec przesady i wobec niesumiennego zestawienia albo raczej przeciwstawienia, starsi pracownicy stawiali się opornie, często na przekór zachowując niedorzeczne stanowisko. W malarstwie naprzykład, wytrawne siły, które zdobyły przynajmniej technikę i umiejętność, świadome jednej swej wyższości, zaczęły okazywać pogardę dla młodej oceny ich prac. Nastąpił rozbrat między twórczością a krytyką, brak wzajemnego na siebie oddziaływania. I podczas gdy artyści zatrzymali się w swym rozwoju, krytyka spadła do rzędu mruczenia, aby nie użyć silniejszego wyrazu. Pozostały tylko czasopisma, poświęcone sztuce, ale te, znajdując się w rękach specyalistów, tem samem zajęły w walce wyraźne i stronne stanowisko. Co z tej walki wyniknie? Ostatecznie wchodzą tu w grę inne jeszcze czynniki, które dadzą sobie radę zarówno z uporem akademików, jak i z bezwstydną czupurnością krytyków.

Inna ofiara prasy—to Jabez! Kim jest Jabez? Jabez Spencer Balfour jest dziś więźniem; przed kilku laty był on posłem z Lancashire, jednym z przedstawicieli przedsiębiorczości przemysłowej i moralności przedsiębiorczej. Syn kupca, otworzył tak zwaną agencyę parlamentarną. Według ustawy krajowej, obywatel, który się ubiega o mandat poselski, musi sam opłacać *wszystkie* wydatki wyborcze, nawet te, których urzędnik państwowy dokonywa w imieniu władz krajowych (jak naprzykład sporządzenie spisu wyborców). Mamy więc jako owoc prawa wyjątkowo zupełnie rzemiosło parlamentarne; współubiegający się o godność posła występuje na pole walki nietylko we własnej osobie, ale i przy pomocy swego agenta. Jabez Balfour wytwarzał zatem posłów, zawierał liczne wpływowe stosunki, które zużytkował przy zakładaniu różnych przedsiębiorstw finansowych. Ilość tych ostatnich była bardzo pokaźna; giełda znała je pod ogólną zbiorową nazwą „grupa Balfour.“ Koroną tego hurtownego wytwarzania stowarzyszeń akcyjnych stanowił „Wyswobodziciel“ (Liberator), również akcyjne przedsiębiorstwo, mające na celu „wyzwolenie“ mieszkańców Zjednoczonego Królestwa od złych mieszkań. Hasłem przedsiębiorstwa było: *Libera sedes liberum facit* (swobodna siedziba czyni człowieka swobodnym). Innemi słowy, było to stowarzyszenie budowlane, mające wrzekomo na celu reformę mieszkań dla całego kraju. Działalność swą rozpoczęło od modlitwy; cały legion, naiwnych zresztą, pastorów nawoływał swe owieczki do złożenia zaoszczędzonego grosza w ręce Balfoura, który w 1892 roku sam został posłem. Nie było miasta, nie było zakątka w kraju całym, gdzieby Balfour nie miał akcyonaryuszów. Wdowy, starcy, bogobojni i kochający ludzkość drobni rentyerzy—wszyscy śpieszyli ze swemi oszczędnościami do niego. Różni biedacy zebrali około siedmiu milionów rubli. Ogółem zaś w „grupie Balfour“ obrót doszedł do 60—70 milionów rs.

Zasadą jego było: „Trzeba założyć jeszcze jedno przedsiębiorstwo, gdy istniejące idzie źle.“ W 1893 roku nastąpił przełom. Skromni akcyonaryusze „Wyswobodziciela“ zostali zatrwożeni, i wybuchł rzadki na giełdzie londyńskiej krach. Ubóstwiany Jabez zemknął: przez rok cały przetrzymał on burzę, łatając sprawy różnymi nielegalnymi środeczkami. Ale gdy „Wyswobodziciel“ robi kłopoty, trudno już dać sobie radę. Jabez się przerachował i nie wziął pod uwagę paniki drobnych akcyonaryuszów. Gdyby mógł w 1893 utworzyć nowe przedsiębiorstwo i znaleźć nowych 10 milionów—byłby dziś jednym z bohaterów narodowych, wzór „samopomocy“ i żywe świadectwo moralnej siły, jaką ma spekulacya. Ale „grupa Balfoura“ już tak się rozdęła, iż musiała pęknąć: on zemknął, a kilku jego wspólników otrzymało za łacińskie motto o swobodzie kilkanaście lat ciężkich robót.

Jabez Balfour udał się do Argentyny, ale tam został przytrzymany i po roku walki wydany władzom angielskim—dodajmy tu — z naruszeniem zasad prawa międzynarodowego. Przez cały rok prasa angielska, która dawniej czciła w nim podwalinę przedsiębiorczości jednostkowej, nawoływała rząd, żeby jej dał Jabeza! Im więcej który dziennikarz dawniej „wyzwalał“ wraz z Jabezem, tem głośniej domagał się głowy nieszczęśliwego finansisty. Obecnie Jabez jest w rękach sędziów angielskich, wystawiony na obelgi ze strony pismaków, na pogróżki ze strony zawiedzionych akcyonaryuszów. W sali sądowej policya musi strzedz i bronić oskarżonego przed wybuchami rozżalonych i ciągle jeszcze przez prasę podjudzanych zwolenników cnotliwej przedsiębiorczości. Biedny Jabez! Zanadto wierzy on do dziś dnia w moralną siłę spekulacyi indywidualnej, aby w odpowiedzi na akt oskarżenia rzucić swym sędziom w oczy ich własne poglądy. Zapłaci teraz za bankructwo spekulacyi, opiewanej przez jego oskarżycieli jako jedyna skuteczna i moralna dźwignia życia społecznego.

Na polu rozwoju społecznego najważniejszym faktem jest zapowiedziana reforma prawodawstwa fabrycznego. Projekt rządowy przeszedł przez pierwsze czytanie i obecnie przechodzi fazę obrad komisyi, w której niemal cała Izba gmin bierze udział. Szczegóły nowej ustawy przekraczają granice naszego sprawozdania; wymienię tylko kilka zasadniczych jej punktów.

W pierwszym rzędzie stoi uzupełnienie zdrowotnych przepisów dla zakładów przemysłowych i rozszerzenie do tych gałęzi pracy, które dopiero ostatnimi czasy przeszły z dziedziny „domowego przemysłu“ do bardziej zcśrodkowanego sposobu wytwarzania. Daleko większe trudności napotka prawodawca przy nowych ograniczeniach pracy kobiet i dzieci, oraz przy skróceniu dnia roboczego. Zniesienie tak zwanych półdniówek (halftimers) pracy dzieci, od 1892 obowiązkowo uczęszczających do szkół elementarnych, napotyka na opór ze strony tkaczów w Lancashire i Yorkshire. Zakaz godzin dodatkowych (overtime) nie jest jeszcze zrozumiany i należycie oceniony przez rzemieślników i tak zwanych „sezonowych“ robotników. Wreszcie ograniczenie pracy kobiet jest energicznie zwalczane przez „ruch niewieści,“ który obawia się utracić zdobytą na polu ekonomicznem względną niezależność kobiety angielskiej. Przesąd i nieświadomość przychodzą więc na odsiecz samolubnym interesom klasowym, krępując reformatorską działalność ministra spraw wewnętrznych, Asquith'a.

Główna wszakże walka stoczoną zostanie przy zasadzie rejestru wszelkich miejsc, gdzie odbywa się praca, poddając je przepisom fabrycznym i czyniąc przedsiębiorcę odpowiedzialnym za naruszenie prawa. Regestr taki ma olbrzymie znaczenie dla tych gałęzi pracy, w których część roboty dokonywa się za obrębem zakładu fabrycznego (np. krawiectwo, szewctwo itd.). Na podstawie nowego prawa, każde mieszkanie, w którem odbywa się praca rzemieślnicza lub wyrobnicza podlegać może oględzinom inspektora fabrycznego, odpowiedzialność zaś zarówno w razie nieszczęśliwego wypadku, jak i z powodu naruszenia przepisów zdrowotności, spada na przedsiębiorcę. Reforma ta wymierzona jest głównie przeciw wyzyskowi t. zw. pracy domowej, przeciw *sweating*. Ale co zrobić z przemysłem wiejskim? Posłowie z Irlandyi są zatrwożeni i pytają, czy na podstawie tego prawa inspektor fabryczny może odwiedzać chaty wyrobników rolnych, podczas zimy utrzymujących się z pracy, otrzymanej z wielkich ognisk przemysłowych!

Jedynem wyjściem—nadanie ministrowi swobody odpowiedniego zastosowywania tych przepisów, ale w Anglii istnieje tradycyjna niechęć prawodawcy do zdania się na łaskę i niełaskę władz wykonawczych. Nie mniej w danym wypadku trudno o inne wyjście; każdy minister spraw wewnętrznych będzie musiał przy zastosowaniu prawa mieć na względzie *interes* pracujących, dla których ono ma być uchwalone. Gwałtowne więc dozorowanie, któreby mogło wywołać zamieszanie, szkodliwe dla pracujących, będzie unikane przez ministra zarówno z punktu widzenia ogólnych warunków politycznych, jak i z ducha, którym tchnie każde racyonalne ustawodawstwo fabryczne.

W. Nadolski.

WRÓG STUDENTEK.

Chwila uroczystej tortury nadeszła. Ośmnastoletniej dziewczynie, którą matka troskliwie wychowywała z tą przewodnią myślą, objawiającą stopień uspołecznienia wyższy jeszcze od młynarza z bajki Lafontaine'a, „aby *nikt* na nią nie mógł złego słowa powiedzieć,“ której właśnie zaczęły się trafiać wcale niezłe partye: pan pomocnik naczelnika okręgu akcyzy z Obrzydłówka, lub łysawy obywatel ziemski, wdowiec, kandydat na sędziego gminnego—temu ośmnastoletniemu materyałowi na wzór cnót małżeńskich i macierzyńskich według recepty Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, ni stąd ni zowąd przewróciło się w głowie. Pan Władysław, korepetytor Józia, który lepiejby zrobił, gdyby zamiast filozofować, nie dostał był dwójki z zadanych na pamięć 100 wierszy *Iliady*—przyniósł jej raz „Poddaństwo kobiet“ Milla, kilkanaście numerów *Prawdy*, w których były między innemi artykuły o kwestyi kobiecej, kilka innych książeczek, których mama zobaczywszy, rzuciła w ogień; później na jej prośbę wystarał się dla niej za pośrednictwem dawnego kolegi, o program uniwersytetu genewskiego czy paryskiego,—i Zosia powzięła nagle niezachwiane postanowienie wyjazdu za granicę do uniwersytetu. Co się jej tez, mój Boże! rodzice naperswadowali, co się ojciec nagniewał, matka napłakała: nic nie pomogło! Zosi przedstawił się wyjazd do Paryża „jako przedsięwzięcio, z którem

wiążą się tradycye niezwykłej dzielności, jako wielki cel, który zdobywa się wprawdzie nie z *małym kłopotem*—jak twierdzi autor, o którym niżej—lecz który za to daje możność stania się *czemś*," czemś więcej, niż kapłanką ogniska domowego. Zbladła trochę dziewczyna w ostatnich czasach, posmutniała, jest nieco zdenerwowana z powodu burzliwych rozpraw, ale trzyma się mocno przy swojem i (mówiła to mamie pani Machałkiewiczowa) stara się pokryjomu o miejsce nauczycielki, aby, jeśli rodzice stanowczo odmówią pieniędzy, módz sobie bądź co bądź zebrać trochę grosza na wyjazd do źródeł wiedzy i innego życia.

Rodzice wytoczyli tedy ostatnie, najcięższe baterye: trzy ciocie, oraz czwarta pani Machałkiewiczowa (jako przyjaciółka domu i całego—dajmy na to—miasta Kielc) zostały zaproszone na rodzinną konferencyę, na której po raz ostatni ma być poddana wszechstronnej rozwadze i badaniu dzika myśl Zosi. Ciocia i pani Machałkiewiczowa zajęły miejsca na kanapie, mama poszła po Zosię, której nie bardzo się śpieszyło do przywitania drogich gości, a tatko tymczasem wyjął z tryumfalną miną z szafki i położył ostentacyjnie na stole jakiś zwój zadrukowanego papieru, na którego widok wszystkie cztery panie, zajmujące kanapę, mrugnęły do siebie znacząco i przybrały postawy pewnych swego.

Nareszcie mama, odnalazłszy Zosię, prowadzi ją przed areopag. Dziewczyna robi minę wesołą i obojętną, całuje po kolei wszystkie cztery panie z kanapy.

— Ach, moja Zosiu, jakże ty źle wyglądasz! Toż to istna śmierć angielska z ciebie. Zupełnie ci się cera zepsuje! — woła jedna ciocia.

— Moje dziecko, nie ma innej rady, tylko jedź ze mną zaraz do Obrzydłówka — zaprasza druga, która mieszka tam i jest protektorką pana pomocnika naczelnika okręgu akcyzy — tam takie dobre powietrze, będziesz się kąpała, bawiła, wrócisz rumiana, jak różyczka, za parę miesięcy.

— Co też ciotunia myśli!—Zosia na to—na parę miesięcy! Ależ ja muszę teraz jak najpilniej przygotowywać się do egzaminu z łaciny i greckiego, żeby zdać na medycynę w Paryżu.

W tem miejscu ciocia z Obrzydłówka robi minę życzliwie zdziwioną, mama rzuca spojrzenie, pełne żalu i poczucia bezsilności, w stronę tatka; dwie ciocie wzruszają litościwie ramionami, pani Machałkiewiczowa klaszcze w ręce, a tatko odzywa się nie bez ironii:

— Nie bój się, moje dziecko, wszakże znajdzie się z pewnością w Paryżu uczynny „kolega," (wyraz zaakcentowany dobitnie), który cię przygotuje; a zresztą nie masz nam co tak tym egzaminem imponować: wszak jest on tylko *dla formy*...

Dziewczyna robi wielkie oczy. Kolega ją przygotuje? No, byłoby to bardzo ładnie z jego strony; pan Władysław z pewnością byłby to zrobił. Egzamin dla formy? To jakiś nowy sposób przemawiania do niej. Skąd tatko ma takie wiadomości?

— Moja Zosiu, dajże raz pokój tym żartom—odzywa się któraś z *cioć*;—czyż nie widzisz, jak martwisz nimi mamę i ojca?

Zosia spogląda na mamę, chmurzy się i robi rozpaczliwy gest ręką, pełen zarazem współczucia i zniecierpliwienia, widząc już łzy w jej oczach.

— Córeczko moja—prosi matka — czyż wszystkie nasze perswazye nie pomagają? Co ty tam w Paryżu znajdziesz? Po co ty tam jedziesz? Czy ci źle w domu? Czy nie masz wszystkiego, czego ci potrzeba? Nie ma twój ojciec wiele, nie może ci dać *15—20,000 fr. rocznie*; ale któż ci zaręczy, moje dziecko, że po skończeniu tej twojej medycyny będziesz mogła tyle zarobić? Nie tak to znowu łatwo, nie każdej też tam tak Pan Bóg ześle powodzenie... A może zresztą znajdzie się też człowiek porządny, poczciwy, ze stanowiskiem, to i bez medycyny może ci gorzej nie będzie...

15—20,000 fr. rocznie? A to co znowu? Ona o tem nigdy nie myślała...

— Ależ, matuchno, ja nie dlatego chcę jechać. Rozumie się, nie chciałabym ciągle, przez całe życie, brać od tatka; myślę, że po skończeniu będę mogła jakoś zapracować na utrzymanie swoje; ale ja chcę jechać dlatego, żeby się uczyć; mnie się chce pracować, kształcić się wyżej...

— Uczyć się, kształcić, pracować!—gniewnie przerywa jej ojciec—słyszałem już, słyszałem! Piękne słówka, frazesy, moja panno. Jeśli studentki tak chcą niby pracować, to dlaczego *żadna nie przysyła korespondencyj i artykułów do krajowych pism medycznych*, co?

Dlaczego studentki nie przysyłają artykułów do pism medycznych? Zosię zaskoczyło to pytanie niespodzianie. Żeby pisać, to trzeba dużo już umieć; ona chce się uczyć dopiero.

A tu, nie dając jej czasu na odpowiedź, prawi sentencyonalnie protektorka pretendenta z Obrzydłówka:

— A co do tego, moja Zosiu, żeby nie być ojcu przez całe życie ciężarem, to, chwała Bogu, nie jesteś znów potworem.

— Nie tak, jak studentki, co na nie patrzeć nie można—przerywa sąsiadka.

— Da ci przecież Pan Bóg dobrego męża.

— Ach, moja ciociu, wieczne tylko swatanie!

— Tak, tak — trzepie ironicznie pani Machałkiewiczowa, która też czuje się dotkniętą—powiedz, Zosiu: swatanie i plotki. Prawda? Nie lubisz plotek? No, to radzę ci, nie jedź do Paryża, bo tam dopiero zobaczysz, co to są *plotki!* Jak tylko przyjedziesz, zaraz cię jeden student zaciągnie do swojego *komitetu*, a wszystkie inne *stronnictwa* wezmą cię dopiero na języki! Tam dopiero znajdziesz plotkarzy! Sama, moja droga, plotkarką zostaniesz!

Plotki? Może... w każdym razie coś nowego... ha, no! trudno!—myśli sobie Zosia. Ale komitety? stronnictwa? Co to wszystko znaczy? Skąd im to wpadło do głowy?

— Nie w smak Zosi moje swatanie—rzecze ciocia z Obrzydłówka—zżymasz się na myśl o uczciwem zamążpójściu za porządnego człowieka, znanego rodzicom i krewnym. Bardzo to rozumiem: bo chcesz sobie *znaleźć męża na uniwersytecie*. Każda z was taka sama: niby to wiedza na celu, praca dla ludzkości itd., a w gruncie rzeczy chce wam się wydać się za mąż między młodzikami, albo francuzami, i tyle...

— Moja cioteczko, co ciocia plecie? Doprawdy, nie myślę już dłużej słuchać... Czy wyjdę kiedy za mąż, czy nie, to nic nikomu do tego, tylko mnie. Podoba się cioci pan pomocnik? Trzeba było za niego wyjść; wujaszek może się jeszcze teraz zgodzi... Spodoba mi się student, to wyjdę za niego. Ale teraz jadę po to, żeby się uczyć i żeby już dłużej nie potrzebować słuchać tego i żyć wśród tego wszystkiego...

Jak się na te słowa zerwie cały areopag!

— Moja panno, za wcześnie zrzekasz się ojcowskiego błogosławieństwa!

— Tak, tak, niewiniątko! Będzie ci jakiś oberwany student *przynosił mleko*, *aż w końcu ofiaruje ci swe biedne, skłopotane serce!*

— Śliczny będzie zięć! Winszuję ci, moja siostro..

— Będzie cię z początku zapraszał do *kafeja* na *boka*...

— A jakże! niby to będzie z początku przyjaciel! Przecie tam *każda ma przyjaciela*...

— Wiemy, wiemy — góruje nad wszystkimi głos pani Machałkiewiczowej — ślicznie będziesz wyglądała, *polewając kwiatki w ogródku doktora szpitalnego!*

— Przecież studentki pozwalają asystentowi w szpitalu, żeby mówił do nich, że ma ochotę *pociągnąć za uszko!*

— Tak, a jak będziesz wchodziła do sali, to ci studenci śpiewać będą: no — jakże tam? — pyta tatko, sam niezupełnie biegły we francuszczyznie.

— *La pau... la pau... Oh, la pauvre fille!*— podchwytuje „pięknie wykształcona" ciocia z Obrzydłówka.

— Ale to nic! za to będziesz uczona, że aż strach: *syn ci się urodzi odrazu w berecie doktorskim!*

— Tak — kończy godnie tę historyę pani Machałkiewiczowa — a z tej wielkiej nauki to się aż wszelkich uczuć ludzkich i boskich wyzbędziesz; gdy nieszczęśliwa rodzina (tu łkania w głosie) przyjdzie po swego trupa, to ty będziesz *płakała, że nie masz trupa* do swego obrzydliwego krajania! Śliczna mi *kobieta dwudziestego stulecia!*

Matka, skłopotane serce, kafej, bok, polewanie kwiatów, pociąganie za ucho, la pau... la pau..., syn w berecie, płacz o trupa... Nic, tego zanadto!..

— W imię Ojca i Syna! — woła zrozpaczona dziewczyna — co wy pleciecie? co wam się stało? kto wam to do głów powkładał?

— Nikt nie powkładał — odpowie z powagą i tryumfem ojciec — tylko jakiś paryżanin raz chociaż napisał całą prawdę do *Kuryera*.

I przed zdumionemi oczyma Zosi rozkłada sześć długich fejletonów *Kuryera codziennego* p. t. „Studentki paryskie."

(D. n.)

K. Radosławski.

LIBERUM VETO.

Kwesta zarządu kolonij letnich i dość prosty sposób wywiezienia na wieś dzieci zbywających. — Edward Prądzyński i małe przypomnienie jego zasług tym, które o nich pamiętać winny. — Wielka zmiana w krótkim czasie. — Echo głosu p. Rouby. — Wyścig cyklistów między Kaliszem a Warszawą. — Pieprz sprawozdawczy, dowodzący potrzeby treningu w takcie.

Zarządowi kolonij letnich zbiera się już na płacz: brak mu bowiem pomieszczenia dla kilkuset ubogich dzieci. Więc za pośrednictwem wszystkich pism żebrze o zasiłki, zaklina ogół najczulszemi słowami — i ciągle widzi w swej kasie niedobór. A jednakże ci sami ludzie, którzy ubolewają i nad tym niedoborem i nad rozwianem marzeniem biedactwa, mogliby bardzo łatwo pierwszy wyrównać, a drugie uszczęśliwić. Ile rodzin wyjeżdża na letnie mieszkanie z Warszawy? Tysiące, a między niemi są setki dość zamożnych, ażeby mogły zabrać ze sobą jedno ubogie dziecko. Bo czem ono zaciąży? Tem, że dostanie kącik do przespania się i trochę zbywającego jadła, które najczęściej wyrzucane bywa psom, włóczącym się około siedzib letnich. Nie przemawiam tu zaś bynajmniej za upośledzaniem takich kolonistów, ale sądzę, że rodzina, która zajmuje trzy pokoje i składa się z kilku osób, bez trudu i wielkiej ofiary pomieści i wyżywi przyjętego chłopczyka lub dziewczynkę. Są zaś pewne wypadki, w których po prostu nie rozumiem dziwnego gustu. Zdarzają się dość często małżeństwa bezdzietne: żona mieszka przez lato na wsi, mąż zaś pracuje w Warszawie i tylko co pewien czas przyjeżdża do niej. Dlaczego ci ludzie nie wezmą sobie na parę miesięcy ubogiego dziecka? Dlaczego ta kobieta samotna, znudzona, nie ożywi swego pobytu jakąś istotą, która da jej zajęcie, rozrywkę w nudach, wreszcie wdzięczność? Jestem przekonany, że niejedna za swe miłosierdzie byłaby sowicie wynagrodzona ze strony tych, którymby pozwoliła odetchnąć świeżem powietrzem i wylatać się nieco z nędzy. A możeby tra-

fiła na dziecko godne dalszej opieki, możeby między nią a niem zawiązał się trwalszy węzeł, któryby jej wypełnił pustkę życia, a jemu dał dźwignię do wydobycia się z niedoli? Kto to wie, gdzie jego szczęście leży! Nieraz właśnie na tej drodze, na którą nigdy nie wszedł. Trzeba go więc szukać również w dziedzinie dobroczynności dla ubogich dzieci. Niech więc kobiety, które nie mają dusz z grzywkami i w modnych pelerynkach, wyjeżdżając na wieś, zwrócą się do zarządu kolonij letnich i poproszą go o przysłanie im biednego chłopczyka lub dziewczynki. Kieszeń ich tej ofiary nawet nie poczuje, ale za to serce zyska na niej wiele.

Ciekawa rzecz, ile też kobiet przechowywało w pamięci nazwisko człowieka, który zmarł tak zapomniany, że nawet Plutarchowie kuryerowi, skłonni przekazywać potomności tłustych filistrów, ledwie bąknęły o jego śmierci, a który był może u nas najgłośniejszym szermierzem i obrońcą praw niewieścich? Widziałem wieńce na trumnach tyranów domowych z napisem: „Najczulszemu mężowi i ojcu"; widziałem wieńce na trumnach samolubów z napisem: „Dobroczyńcy", widziałem wieńce na trumnach szachrajów z napisem: „Prawemu człowiekowi"; jeżeli więc nie złożono ani kwiatka na trumnie Edwarda Prądzyńskiego od kobiet, to chyba znaczy, albo że one niezdolne są do wdzięczności, albo że wieńce stanowią tylko ironiczne przypomnienia nieboszczykom tych cnót, których oni nie posiadali. Dziwnie szybko i doszczętnie zgasła ta sława! Gdyby komuś powiedziano przed 22 laty, że autor książki, poświęconej „pracy bez zarobku, myśli bez rozwoju, woli bez czynu, zmarnowanym dobrym chęciom, oszpeconej piękności, wyzyskiwanej słabości, tęsknym pragnieniom, rzewnym nadziejom, niezasłużonym łzom, opuszczonej żonie, zdradzonej kochance, uwiedzionej dziewczynie, kobiecie bolejącej" — zejdzie do grobu bez żadnego znaku żalu ze strony „kobiety bolejącej," nikt by temu nie wierzył. Wówczas bowiem nazwisko E. Prądzyńskiego brzmiało hasłem sztandarowem, a żadne inne nie mogło się z niem mierzyć w znaczeniu i popularności śród wyznawców emancypacyi niewieściej. Był to główny jej patron, ojciec całego ruchu umysłowo-społecznego, dzielący się zaledwie cząstką chwały z autorką *Kilku uwag o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych* (Anastazyą Dzieduszycką), która również uderzała w struny emancypacyi. Rzeczywiście, Prądzyński w swej książce *O prawach kobiety* oświetlił sprawę ze stanowiska liberalnego najwszechstronniej i najradykalniej. Druzgocząc okrutne przesądy i czułostkowe wymagania, pod któremi kryją się drapieżne egoizmy męzkie, wołał śmiało: „Pamiętajmy, że kobietom należy się od społeczeństwa nie to, co pod zamgloną osłoną zasługi komuś podsunąć będzie się podobało, ale że im się należy z tytułu człowieczeństwa pełnia praw człowieczych, praw, któreby im pozwoliły kształcić się i doskonalić i do rzetelnej dopiero dojść zasługi."

Co do zasad ogólnych, książka Prądzyńskiego była tylko rozwinięciem wypowiedzianych w słynnej rozprawie Milla; ale jeśli uprzytomnimy sobie, że wyszła ona w chwili ogólnego u nas przełomu pojęć i stała się nadzwyczaj silną pobudką ruchu emancypacyjnego, musimy jej przyznać wpływ wielki. I nawet obecne dziedziczki skutków tego wpływu zapomniały zupełnie, a może nie wiedzą wcale, że to ich mistrz i obrońca spoczął przed kilku dniami w grobie. Nieładnie!

Tak, *tempora mutantur*, a w nich upodobania i zasady zmieniają się daleko szybciej i bardziej, niż my dostrzegamy. Kto by przypuścił przed sześciastu laty, że te same pisma, które z największą zgrozą potępiły ogłoszenie Dąbrowskiego z Temnikowa w *Nowinach*, poszukującego tą drogą żony, zamieszczać będą kiedyś stale już nietylko podobne odezwy, ale wabienie się samców i samiczek? Po co tak długi okres czasu! Ktoby przypuścił przed kilku tygodniami, gdy gromiono w *Prawdzie* p. Roubę z Wilna za ocenę stosunku obywateli ziemskich do służby folwarcznej, że te same oskarżenia, któremi on obciążył „szlachtę," powtórzy najwierniejszy jej organ—*Gazeta rolnicza?* Czytajmy bowiem, co w niej pisze p. Paweł Szumowicz. Według niego od lat 30 nie zaszła żadna zmiana w stosunkach chlebodawców do pracowników. „Ciągle ten sam zardzewiały konserwatyzm w poglądach, ta sama rutyna w szarem codziennem życiu; te same antisanitarne warunki w parobczyńskich chałupach, położonych gdzieś za dworem na wydmach piaszczystych lub wśród bagien, z walającą się gromadką ladajakiego opału; te same demoralizujące pomieszczenie częstokroć w jednej ciasnej izdebce dwóch licznych rodzin, bez względu na skromność, wrodzoną nawet bydlętom, na ciągłe swary i zakłócanie spokoju dwóch gospodyń na jednym kominie; bez względu na to, ile stóp kubicznych powietrza przypada na indywiduum." Pensya licha, a „ordynarya w większości wypadków wydaje się nieco pośledniejszego gatunku ziarnem, na miarę i to niekoniecznie zawsze dokładną... „Przy tak nędznem utrzymaniu, którego suma równa się 60—70 rs. rocznie, zdemoralizowany nasz parobek rozwiązuje spokojnie i cierpliwie trudne zagadnienie: dostarcza największej ilości roboty—przy najgorszem jakościowo pożywieniu; jasnem jest, iż ta ostatnia okoliczność potwierdza powszechny zarzut, iż chłop „nasz umie dużo jeść!" My wiemy przy jakiej dyecie parobek nasz nie umrze z głodu, ale nie wiemy lub nie chcemy wiedzieć, przy jakich normach pokarmowych powinien on zdrowo żyć i pracować. Dla konia roboczego skrupulatnie ważymy siano i owies, stosownie do jego pracy i, jeżeli ta ostatnia powiększy się, dodajemy owsa lub bobiku... Parobek nasz *własnym przemysłem* zaspokaja potrzeby organizmu i, zamiast *bobiku*, *narusza sterty z grochem*, kradnie owoce, warzywo, słowem wszystko, czego bezkarnie dopadnie. Kradzieże te warzywa, owoców, grochu, zboża, w kieszeniach i butach, są tak blade i błahe, że doprawdy nie godzi się alarmować, nazywając całą ludność danej gubernii złodziejami, aresztantami. Wspomniawszy o kradzieży zboża przy młocce, nie mogę nie podkreślić zalecanego środka zaradczego przez *sprytnego* gospodarza w jednem z pism specyalnych — zzuwanie butów i wywracanie kieszeni u wszystkich robotników po skończonej młocce. Co za hańbiący sposób traktowania ludzi, podejrzewanych, a może zupełnie niewinnych, przy 12½ kop. wynagrodzenia za dzienną pracę!" Czy wam się nie zdaje, że czytacie artykuł p. Rouby? Zwracam uwagę, że echo jego głosu dla odbicia się z przeciwnej strony potrzebowało zaledwie kilku tygodni czasu. Same dziwy! Dla ścisłości winienem dodać, że autor uwił wianuszek swoich spostrzeżeń z kwiatów gubernii litewskich. Ale i p. Rouba mieszka w Wilnie.

Nie ma co smutku obwijać w bawełnę i robić dobrej miny, lepiej wyznać szczerze, że niemcy rzetelnie pobili naszych cyklistów w wyścigu 420-wiorstowym między Warszawą a Kaliszem i że nas ta porażka głęboko zmartwiła. Dla każdego wszakże, kto zna oba społeczeństwa, była ona niewątpliwą. Do walki bowiem stanęli z jednej strony ludzie od dzieciństwa ćwiczeni fizycznie, wygimnastykowani, zahartowani, zdrowi i zamożni, którzy mają siły i czas na doskonalenie się w rozmaitych sportach; z drugiej ludzie wątli, zwykle z niewykształconem ciałem, którzy dopiero w okresie dojrzałości zaczynają sobie wyrabiać mięśnie i zanim wsiedli na rower, wcale o tem nie myśleli. Dość spojrzeć na cyklistów niemieckich — świetnie rozrosłych, krzepkich, prawdziwych atletów i na naszych komarów (mówię o ogóle), z łydkami wypchanemi watą, z wązkiemi piersiami, istno „chmyzy," ażeby dostrzedz różnicę sił zapaśniczych. A właśnie wyścig na dużej przestrzeni, wymagający ogromnej wytrwałości, pomnaża szanse pierwszych a uszczupla drugich. Stało się więc to, co było wypadkiem najnaturalniejszym: do mety przyjechali pierwsi prusacy.

Jest to również objawem naturalnym, że każdy zwyciężony stara się usprawiedliwić swoją porażkę i dowieść, że gdyby nie pewna drobnostka, on niezawodnie byłby zwycięzcą. Ale i w tej łatwej do przebaczenia sofistyce należy zachować miarę i nie krzywdzić półsłówkami współzawodników, których nie można zaatakować żadnym dowodem i względem których ma się nadto obowiązki gościnności. Jeżeli Towarzystwo cyklistów urządziło wyścig międzynarodowy i zaprosiło również niemców, powinniśmy być dla nich sprawiedliwi i grzeczni, i to zarówno dla zwyciężających, jak zwyciężonych. Tymczasem parę pism pozwoliło sobie przymówek wprost nieprzyzwoitych. Tak np. jedno z nich utrzymuje, że Barański był w ciągu jazdy „pilnie strzeżony (?) przez niemców," dalej, że „w Kole ktoś (?) zamiast żądanej czystej kawy, podał mu ją zmieszaną z jakimś (?) nadzwyczaj mocnym trunkiem, co jakoby uniemożliwiło mu przodownictwo i znużyło tak, że zasnął" itd. Jeżeli mamy tak pieprzyć nasze sprawozdania, to nie otwierajmy turniejów międzynarodowych i nie zapraszajmy na nie cudzoziemców, dopóki nie wytresujemy się lepiej w... takcie.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Baku jest stolicą królestwa nafty. Kilkanaście lat temu było nędzną mieściną, zamieszkaną przez tatarów i tatów, trudniących się handlem z przyległemi prowincyami Persyi. Cicho było i spokojnie. Ciszę tę kiedy niekiedy przerywał tylko ryk przeciągły statku, przybywającego do portu, a trzy razy dziennie, w południe, o wschodzie i zachodzie słońca, rozlegały się głosy muezzinów, którzy stojąc na strzelających do góry minaretach, wzywali wiernych na modlitwę. W okolicznych wioskach czciciel ognia zapalał wydobywające się ze ziemi i dna morskiego gazy, ochraniał je z czcią bogobojną, budował świątynie. Dopiero przyszedł europejczyk, zobaczył tego boga, któremu się kłaniano, sprowadził świdry, kilofy, łopaty, zaczął kopać, wieże wiertnicze wznosić; trysnęły potoki światłodajnego płynu, polały się rzeki, utworzyły jeziora. I znikli czciciele ognia, miejsce boga gwebrów zajął inny, co błyszczy i brzęczy. Bóg nowy zwabił więcej czcicieli, którzy zewsząd biegli tłumnie na kraj świata — i wyrosło miasto, liczące obecnie przeszło 120,000 ludności. Starożytny gród ciasny i mały, labirynt wązkich uliczek i zaułków, z dworcem chana i wielu meczetami, otoczony krzepkim murem kamiennym, pozostał, a wokoło rozlały się dziesiątki tysięcy napływających przybyszów; wytknięto naprędce ulice ciasne, krzywe a długie, poklecono domy z kamienia. Miasto też nosi piętno pracy gorączkowej; wszystko wydaje się niedokończonem, wszędzie razi brak wygody i dbałości o piękno. Ale nikt na to nie zważa; przyjeżdża tu albo urzędnik, który przedstawia najmniej stały żywioł, albo przemysłowiec; ten znów my-

śli tylko o tem, aby zrobiwszy miliony, umykać jak najprędzej do świata. Nic tedy dziwnego, że oś życia w Baku stanowią sprawy naftowe: o nich się tu przeważnie mówi, o nich też pisać należy.

Przemysł naftowy w Baku przechodził już różne koleje: miał on chwile bardzo ciężkie, zniósł wiele przesileń i zawsze, doczekawszy się lepszych czasów, nabierał nowych sił do walki. Obecnie sprawy jego stoją bardzo dobrze; podczas gdy kilka miesięcy temu pud ropy sprzedawano po kopiejce, a w milionowych ilościach nawet po $^3/_4$ i $^1/_2$ kop., obecnie cena puda wynosi $6^1/_2$—$6^3/_8$ kop. i, jak przypuszczają, jeszcze się bardziej podniesie. Przyczyną tego zjawiska ma być podobno brak nafty w Ameryce; są też i inne domysły, usiłujące wytłomaczyć nagły i znaczny wzrost ceny, lecz wszystko to są tylko domniemania, bo przemysł bakiński bardzo mało wie, co się gdzieindziej dzieje.

Parę miesięcy temu narobiło wrzawy znalezienie w okolicach miasta wielkich ilości „gliny palnej" (?), która miała niby zastąpić wszelkie dotychczas używane materyały opałowe. Wieść o nowem odkryciu rozniosła się po za granice Baku, przebiegła ziemię kaukaską i znalazła się nawet na łamach wielu pism rosyjskich. Tymczasem w miejscowem Towarzystwie technicznem ukończono analizę, która wykazała, iż osławiona „glina palna" przedstawia wprost odpadki procesu oczyszczania wapnem dystylatów naftowych i jako materyał opałowy żadnego znaczenia mieć nie może; gliny nie zawiera ani śladu; po spaleniu daje 35,5% popiołu, składającego się z 27% wapna i 8,5% piasku z domieszką tlenku żelaza i węglanu sodu; część wapna związana jest z kwasem organicznym, który rzeczywiście znajduje się w odpadkach; kwasu tego jest tam do 14%. Wszystko to potwierdza dostatecznie fakt, iż „glina palna" stanowi produkt sztuczny, wytworzony dzięki temu, iż niektóre rafinerye do oczyszczania dystylatów używały wapna, zamiast powszechnie przyjętego wodanu sodu.

Na ostatniem ogólnem zebraniu Towarzystwa technicznego odczytano odezwę prof. Zaloziecкiego ze Lwowa. Odezwa ta zawiera propozycyę zorganizowania czegoś w rodzaju komisyi międzynarodowej, za której pośrednictwem technicy różnych krajów porozumiewaliby się dla ustanowienia ogólnej metody, ogólnych sposobów i probierzów do określania jakości produktów naftowych. Zbadaniu i opracowaniu podlegałyby tu kwestye bardzo ważne i mające wielkie znaczenie praktyczne, jak np. określenie minimum temperatury punktu wrzenia nafty ze względów bezpieczeństwa. Obecnie, z powodu rozmaitości metod, sposobów i nawet przyrządów wynikają często nieporozumienia, sprowadzające znów wiele przeszkód w rozwoju przemysłu, często bowiem produkt, uznany za dobry w jednym kraju, nie odpowiada wymaganiom przepisów gdzieindziej obowiązujących. Towarzystwo postanowiło zająć się rozpoznaniem tej ważnej kwestyi.

Zawierucha.

Z nad Wisły i Warty. Otrzymujemy następującą korespondencyę, którą—nieco spóźnioną z braku miejsca—drukujemy jako wyraz opinii lepszego odłamu tej części społeczeństwa, którą często poddajemy krytyce:

W jednym z numerów *Prawdy* autor „Lib. veto," mówiąc o niechęci naszego ziemiaństwa do stawania na publicznych licytacyach przy kupnie majątków wiejskich, zwraca się do Towarzystwa popierania rosk. przemysłu i handlu w Warszawie, aby pośród licznych komisyj zdobyła się jeszcze na jedną, któraby dokładnie i dowodnie wykazała przyczyny tej niechęci i obojętności. Następnie zarzuca temuż ziemiaństwu, a w szczególności szlachcie, że zapomniała o dawnej solidarności, że pozwala upadać sąsiadom i że unikając publicznych licytacyj, przyczynia wiele szkody, tak wywłaszczonym, jak i wierzycielom hypotecznym. Nie będąc członkiem owego Towarzystwa, nie mogę zabierać głosu w jego imieniu, wszakże jako szlachcic i ziemianin, dzielę się niektóremi danemi, z praktyki życiowej zaczerpniętemi, które mogą choć w części wyjaśnić poruszony przedmiot. Przedewszystkiem zaznaczam, że nie będąc przesądnym, nie mogę jednakże sobie wytłomaczyć, dlaczego nad majątkami, kupowanymi przy świeczce lub nabywanemi z młotka, ciąży zawsze jakieś złowrogie fatum: nikomu bowiem w nich się dobrze nie wiedzie, zawsze coś zawadzi, coś przeszkodzi. Znam w niewielkim obszarze pewnego powiatu przeszło dwadzieścia kilka dóbr, które tym sposobem z różnych powodów, w ciągu lat czterdziestu, zmieniły swych właścicieli. A dobrze było, jeśli nowi nabywcy sami do końca swego żywota pozostali dziedzicami, w rzadkich tylko wypadkach dzieci władały, wnuka zaś to już ani jednego nie starczyło. I jakkolwiek to złowrogie fatum, zwłaszcza w dzisiejszych zmateryalizowanych i mało skrupulatnych czasach, nie może być poważną przyczyną do niebrania udziału w licytacyach publicznych, jednakże istnieje jeszcze spory zastęp ludzi w obywatelstwie naszem, którzy, nie powodując się taniością nabycia, nie chcą ani na sobie, ani na swych następcach doświadczać owego niewytłomaczonego fatalizmu, i mając środki po temu, kupują z wolnej ręki. Bo zastanowiwszy się bliżej, spytajmy: co za korzyści może przynieść ziemianinowi z zawodu posiadanie majątku, zazwyczaj ogołoconego, a przynajmniej ze zrujnowanemi budowlami, bez zasiewów, słomy, inwentarza, a tem samem nawozu, nadto przez rabunkową gospodarkę wycieńczonego na długie lata z zasobów kulturnych, gdzie nawet najbieglejszy rachmistrz nie zdoła nigdy na pewno obliczyć, czego taki głodniak i obdartus może potrzebować? Zapewne nic więcej nad kłopoty i zmartwienia. Przyprowadzić do należytego porządku i odpowiedniego procentowania gospodarstwo opuszczone i wyniszczone nie jest zadaniem ani łatwem, ani szybko wykonalnem. Takie przeto majątki, z wyjątkiem wierzycieli hypotecznych, pragnących utrzymania się ich sum, nabywają zazwyczaj spekulanci i handlarze, dla których, jak to mówią, niema nic świętego i których nic z tą ziemią nie wiąże, którzy aby tylko wydobyć włożony pieniądz i coś zarobić, rozbiorą i sprzedadzą wszystkie pozostałe budowle, wytną nawet w ogrodzie drzewka, wywiozą kamienie z pola, jak również szlam ze stawów i sadzawek, samą zaś ziemię, za pośrednictwem agentów, biegłych w tumanieniu niedoświadczonych, za cobądź rozparcelują — choć i oni na tych spekulacyach, zwłaszcza gdzie są jeszcze serwituty nieuregulowane, nieraz się łapią, i dziedzictwo staje im kolką w boku. Co zaś takie opustoszałe majątki są warte, najlepiej przekonywa nas postępowanie Towarzystwa kredytowego ziemskiego, które, jeśli jest zmuszone objąć je w swe posiadanie, mimo swego celu i obowiązku podtrzymywania własności ziemskiej większej i swych olbrzymich zasobów materyalnych, kupione majątki częstokroć nawet ze stratą sprzedaje osobom trzecim i nie robi żadnych nakładów, ani zaprowadza gospodarstwa.

Oprócz tego są jeszcze inne względy, które na baczeniu mieć potrzeba, zwłaszcza ziemianinowi. Przedewszystkiem nikt nie ma żadnej pewności, że w oznaczonym terminie odbędzie się przymusowa licytacya dóbr; wiemy bowiem, że Towarzystwo kredytowe po otrzymaniu zaległości majątek od sprzedaży zwalnia, w postępowaniu sądowem może to samo uczynić egzekwujący, nawet zawiesić dalsze kroki, jeśli przypuszcza, że suma jego się utrzyma; wchodzić zaś w przedwczesne umowy z tradującym i podżegać go do ostatecznych kroków nie każdy jest zdolny, i ma do tego powody. Daremne jeżdżenie do miasta gubernialnego na licytacyę naraża tylko na stratę czasu i wydatki, przytem trudno trzymać lub gromadzić większe sumy na każde zawołanie. Dalej same terminy licytacyjne są niewygodne i niesprzyjające ziemianinowi — Towarzystwo kredytowe zazwyczaj dokonywa ostatecznych sprzedaży w maju lub listopadzie, a jeśli dodamy do tego termin nadlicytacyi i spełnienie wszelkich formalności przez prawo wymaganych, to nowy nabywca, przy największym pośpiechu może dopiero majątek objąć w czerwcu lub grudniu, a tak w jednym, jak w drugim miesiącu nic już nie zasieje — ma więc cały rok zmarnowany, a przecież ciężary i opłaty gruntowe oraz hypoteczne obowiązują go od chwili odbycia licytacyi. Nie lepsze są równie terminy sądowe — kwiecień, lipiec i październik, do których także wypada doliczyć czas na formalności prawne, co znowu opóźnia posiadanie i prace gospodarskie. Wreszcie jakkolwiek nie często, zawsze jednakże zdarzają się wypadki niespełnienia przepisów prawa, poprzedzających sprzedaż publiczną; jeśli więc nastąpią spory sądowe z powodu uchybienia tym formalnościom, to nowy nabywca zawsze szwankuje — mniej przy subhastacyach przez Towarzystwo kredytowe, bo tam złożone wadyum do licytacyi jest zatrzymane do ukończenia procesu, a w razie unieważnienią sprzedaży bywa zwracane. W sprzedaży zaś sądowej można być narażonym na daleko większe i pokaźniejsze straty, gdyż obowiązująca dziś procedura wymaga, oprócz jednej dziesiątej części wylicytowanego szacunku, składanej jako wadyum zaraz po ukończeniu targu, zapłacenia w ciągu siedmiu dni wszelkich zaległości pod atków skarbowych i gminnych, oraz rat należnych Towarzystwu kredytowemu, wniesienia stempla szacunkowego i dopełnienia reszty ceny zalicytowanej; w razie unieważnienia przez sąd sprzedaży, po zwrot tych wydatków odsyła interesowanego do wywłaszczonego lub tych, co je pobrali — co znaczy gonić wiatr po polu. Nie zasłoni również nic nowego nabywcy od urojonych skarg sądowych, bądź to ze strony wywłaszczonego, bądź spadłych wierzycieli hypotecznych, i przy najlepszym obrocie sprawy, zawsze on nie będzie mógł przed ukończeniem sporów uregulować na siebie tytułu własności, nie mówiąc już o kosztach, stracie czasu i nieodłącznem zmartwieniu. Czy wszystkie te okoliczności zachęcają do kupna majątków ziemskich na licytacyach publicznych? Sądzę, że nie i że „Liberum veto" przestanie mieć za złe szlachcie, iż w nich obowiązkowo nie uczestniczy.

A teraz „Pamiętnikowi" z tej samej *Prawdy* (nr. 8), pytającemu: „Czy kupować?" Naprzód niema żadnego zwyczaju ani ogólnego, ani miejscowego, któryby zabraniał obywatelowi ziemskiemu stawać do przymusowej licytacyi dóbr szlacheckich, gdyż każdy pełnoletni i mający odpowiednie fundusze posiada do tego najzupełniejsze prawo i swobodę, a nawet etyka stosunków sąsiedzkich nie staje ku temu na przeszkodzie, wiadomo bowiem, szczególnie przy sprzedażach przez Towarzystwo kredytowe, że niewypłacalny dłużnik, choćby nie było ani jednego licytanta, zostanie wywłaszczony przez samo prawo. W sprzedażach zaś sądowych, jak to już wykazałem, głównie obawa długich i kosztownych procesów odstręcza ludzi spokojnych i niechcących być ofiarami eksperymentów adwokackich, jak niemniej zrujnowany stan majątku, nie przedstawiającego żadnych dodatnich danych do ryzykowania ciężko nabytego grosza. Dalej, oskarżacie Towarzystwo kredytowe, że zbyt wysoko szacuje majątki ziemskie i przez to przyczynia się do nieszczęścia wierzycieli hypotecznych, którzy mu ufają; ale to nie wytrzymuje krytyki, szacunek bowiem dóbr hypotecznych nie zależy od taksy Towarzystwa kredytowego, które tej czynności dokonywa jedynie dla siebie i dla swojej wierzytelności, lecz od umowy pomiędzy kupującym a sprzedającym, i choćby nawet był fikcyjnym, Towarzystwo nie ma żadnego wpływu ani na jego podniesienie, ani zniżenie. Co do sentymentów nowonabywcy, tak względem wywłaszczonego, jak i spadłych wierzycieli hypotecznych, to tylko powiem, że wolno być filantropem lub nie, do tego nikt nikogo nie zmusza, ani prawo zobowiązuje, a jeśli dobry interes przez tanie nabycie temu nie przeczy, to czemu nieszczęściu nie pomódz? Kto nietylko majątek ziemski, ale nawet koszulę chce kupić, winien ją wprzód obejrzeć; wszelkie opisy, choćby najdoskonalsze, niewiele objaśnią — są tylko dowodem, co może być żądane od wywłaszczonego. Tych opisów tak władze Towarzystwa kredytowego, jak i komisarz sądowy, prowadzący sprzedaż, nietylko nie wzbraniają, lecz owszem z obowiązku chętnie dają do przejrzenia. Ogłoszenia

zaś o sprzedaży są aż nadto wcześnie dopełniane, gdyż przez Towarzystwo kredytowe na pół roku wpierw, i to nieraz trzykrotnie, a przez komisarzy sądowych na trzy miesiące, termin zaś do spełnienia warunków licytacyjnych przez ustawę sądową oznaczony jest na dni siedem, Towarzystwo kredytowe w sprzedażach przez siebie dokonywanych ma dwudziestodniowy. Co zresztą mającego chęć nabyć majątek ziemski mogą obchodzić inni licytanci? Chyba że mu przeszkadzają w nabyciu za bezcen.

Związek z „Liberum veto“ nr. 7 z „Czy kupować“ z nr. 8 *Prawdy* zmusiło mnie do pewnej rozciągłości w wywodzie. Na zarzut niesolidarności i nieuczynności sąsiedzko-szlacheckiej w końcu dopiero odpowiadam. „Liberum veto“ przypomniało, że dawno już minęły te czasy, kiedy to natus mógł być tylko possessionatus; dziś kto ma dobrą wolę i środki, może najswobodniej zostać panem dziedzicem i ziemianinem. Wskutek tej swobody w zastęp ziemiański nietylko wcisnęły się, ale masą wkroczyły różne religie, narodowości i procedery, nie mające nic wspólnego ze szlachectwem, lecz owszem nie posiadając i nie mogąc nabyć za pieniądze przywilejów tego stanu, patrzą nań z ukosa i we własnym interesie podkopują jego byt. Wymagać zatem od tych napływowców solidarności sąsiedzkiej jest co najmniej daremne. Wprawdzie pozostała się jeszcze przy posiadaniu ziemi dość poważna liczba szlachty, która przy swych zasobach i dobrej woli mogłaby niejedną biedę wyratować lub jej pomódz, ale, niestety, nietylko zapomniała o tem, że „gromada to wielki człowiek“ i że „co dziś mnie, to jutro ciebie,“ lecz z żalem wyznać muszę, iż jej poziom moralny mocno się obniżył. Niema już owego *verbum nobile*, tak dawniej uroczyście przestrzeganego; dziś mamy nowe maksymy: „naciągnąć go na lapę,“ „wziąć na kawał lub fis,“ „odwrócić od wiatru“ itp. Nie dziw zatem, że brat brata, zwłaszcza małoletniego, skrzywdzi przy działach, przyjaciel i krewny nietylko zarwie, lecz jeszcze oczerni i wrogiem będzie za okazaną pomoc i współczucie. Więc też stosunki rodzinne, pokrewieństwa przyjaźni i sąsiedztwa coraz więcej się rozluźniają i sobkostwo bierze górę nad popędami szlachetnymi. Co najboleśniejsza, byleby tylko ladaszubrawiec, oszust i szachraj, brzęknął nietylko kiesą, ale talerzem lub butelką, trzasnął kartami lub sprosił na łowy, zaraz liczna zgraja będzie mu biła czołem i nie powstydzi się oświadczeń z szacunkiem. Dawniej, gdy kto źle zrobił, to się przynajmniej rumienił i nie wciskał się do towarzystwa ludzi uczciwych i prawych; dziś nie wiesz, czy to obywatel, czy opryszek. Nie zbywa nam wprawdzie na przykładach cnót i poświęceń obywatelskich, i niech mi wolno będzie w tej mierze powołać się na czyn zacnego pana Bonieckiego z jego szanownymi sąsiadami radomianami, lecz aby wynaleźć takich więcej, nie starczy już skromna latarka Dyogenesa, a światła elektrycznego nie mamy jeszcze podostatkiem na podobne poszukiwania. Miejmy wszakże nadzieję, że kiedyś dojdziemy do niego, a tymczasem niech będą dzięki „Liberum veto,“ że pobudziło drzemiących i dało możność do tych medytacyj.

Jarosław Konopnicki.

Dąbrowa Górnicza. Przy zwiększonym ruchu budowlanym, przedsiębiorcy uskarżają się na brak malarzy, których płaca dzienna wynosi obecnie 1 rs. 60 kop. do 1 rs. 80 k.—W Dąbrowie brak dobrej wody do picia; wszystkie, prócz jednej, studnie tameczne zawierają mętną i niesmaczną wodę. Zarząd fabryki „Huta Bankowa“ sprowadza wodę dla robotników aż ze Strzemieszyc, o 5 wiorst od Dąbrowy. — W Sosnowcu ceny produktów spożywczych są całkiem dowolnie naznaczane przy handlujących; szczególnie piekarze nie zwracają uwagi na to, że ceny zboża spadły. Jest to jednym powodem więcej do szczerego życzenia mieszkańców, aby Sosnowiec przemianowano na miasto, posiadające opiekę municypalną. Ceny mieszkań bywają trzy razy większe niż w Warszawie. — W Gajdowie pod Niwką będzie wzniesionych 25 domów dla robotników fabrycznych i kopalnianych Towarzystwa Sosnowickiego.

Radom. Do istniejących już w Sosnowcu dwóch magazynów zbożowych przybędzie wkrótce trzeci, budowany przez firmę Reichera, a połączony torem kolejowym z dr. żel. Dąbrowską i Wiedeńską. Magazyn pomieści przeszło 200 wagonów. — Huta cynkowa, należąca do Towarzystwa dąbrowskiego i przed kilku laty dzierżawiona od rządu przez kompanię prywatną, przestała być czynną od miesiąca. Zagaszono piece hutnicze aż do czasu ułożenia z rządem nowych warunków, przystępniejszych dla dzierżawców. Dotychczasowe rezultaty z huty cynkowej wykazały, że do każdego puda cynku dokładano 30 kop.

Petersburg. Dnia 26-go z. m. odbyło się nadzwyczajne zebranie ogólne Towarzystwa ufundowania wyższych kursów dla kobiet. Komisya budowy gmachu zawiadomiła, iż budowa ta na dzień 13-y września będzie ukończona. Na najniższem piętrze będzie urządzona pracownia fizyczna. Dochody na rok szkolny 1895/6 obliczono w ilości 119,845 rs. (55,000 z wpisów po 100 rs., 25,000 zwrot kaucyi od właściciela dotychczasowego lokalu kursów, 18,800 od pensyonarek, 8,000 z koncertów i t. p.). Minister zezwolił na zwiększenie liczby słuchaczek do 600. Opłatę od pensyonarek zniżono z 300 do 270 rs., i jest nadzieja, że w przyszłości będzie można jeszcze ją zmniejszyć. Wydatki obliczono na 124,491 rs. (38,200 pensye profesorów i asystentów, 31,000 budowa domu, 18,900 utrzymanie internatu itd.) Profesorom przywrócono dawne wynagrodzenie 250 rs. za godzinę rocznie, zamiast 200 rubli. — W Petersburgu powstało nowe towarzystwo akcyjne żeglugi po morzu Czarnem z kapitałem 5,000,000 rubli. — Student instytutu technologicznego, Zygmunt Bączkowski, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru. — W ciągu tygodnia od dnia 14-go do 21-go z. m. policya ujęła na ulicach petersburskich i odwiozła do cyrkułów dla otrzeźwienia się 868 pijanych w stanie zupełnej nieprzytomności. — Odkryto tu skład fałszywych 10-rublowych banknotów, wybornie podrobionych, a przywiezionych z Niemiec. — Dn. 9 czerwca na wystawie drukarskiej odbędzie się konkurs zecerów. Za trzy najlepsze prace będą wyznaczone nagrody pieniężne i znaki pamiątkowe.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Zjazd młynarzy. Dn. 30 z. m. zakończyły się posiedzenia III zjazdu młynarzy. Uchwalono: Peryodyczne zjazdy młynarzy co trzy lata, a nadzwyczajne — w razie potrzeby. Podczas zjazdów obieraną ma być rada na trzy lata. Dla pokrycia wydatków, jakie pociągną za sobą zjazdy i utrzymanie rady, młyny mają być obciążone podatkiem, w stosunku do kategoryi, do jakiej należą. Do pierwszej kategoryi zaliczono młyny z produkcyą dzienną nie wyższą nad 500 pudów, te są wolne od podatku. Do drugiej należą młyny, produkujące dziennie 500 — 1,500 pudów mąki: podatek — 25 rubli od młyna. Do 3-ej młyny z produkcyą 1,500—2,500 pud: podatek — rs. 75. Do 4-ej młyny z produkcyą 2,500—4,000 pud.; podatek — rs. 100. Do 5-ej kategoryi należą młyny, produkujące dziennie 4,000 — 6,000 pud. i obciążone podatkiem w ilości rs. 200 rocznie. Do 6-ej — z produkcyą 6,000 — 8,000 pud; podatek — rs. 300. Do 7-ej wreszcie kategoryi zaliczono młyny, produkujące dziennie więcej niż 8,000 pud.; te mają opłacać rs. 400 podatku. Opodatkowanie młynów ma się rozpocząć w styczniu r. 1896. Następnie zjazd uznał za konieczne czynić starania w ministeryum skarbu o zniżenie taryfy kolejowej na mąkę, wywożoną za granicę i do Finlandyi, oraz o zwrot cła od worków, machin, węgla kamiennego i sit. Wreszcie w celu zwiększenia wywozu mąki za granicę zjazd uchwalił organizować w najbardziej handlowych miastach zagranicznych agentury i składy, które mają się znajdować w zawiadowaniu rady młynarskiej.

— Piotrkowski oddział Banku państwa otrzymał zawiadomienie, że p. minister skarbu zgodził się na ponowne wprowadzenie w tamecznym oddziale dyskonta czyli skupu weksli.

— Zgromadzone przez rząd dane statyczne, dotyczące konsumcyi herbaty, wypadły pod pewnym względem bardzo niepomyślnie. Oto okazało się, że piętnaście lat wstecz przywożono do Rosyi rocznie 1,200,000 pudów; dzisiaj zaś, kiedy konsumcya herbaty niezaprzeczenie znacznie wzrosła, cyfra dowozu spadła do 800,000 pudów. Świadczy to, na jak wielką skalę odbywa się fałszowanie herbaty.

— Na otwartym d. 27 z. m. zjeździe przedstawicieli dróg żelaznych będzie rozpatrywany projekt zniżenia wielu taryf na przewóz produktów krajowych za granicę.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Jak donoszą *Mosk. Wied.*, postanowiono, iż z płacy robotników fabrycznych, na żądanie władz gminnych itp., może być potrącana na spłatę długów lub zaległości co najwięcej 1/3 zarobku, jeśli robotnik jest kawalerem lub wdowcem bezdzietnym, nie więcej zaś, niż 1/4, jeżeli jest żonaty lub dzietny.

— Miasto Stopnica, w gub. kieleckiej, przystępuje do urządzenia u siebie wodociągów, które buduje tam jedna z firm warszawskich. Po Płocku będzie to drugie miasto prowincyonalne w Królestwie, posiadające wodociągi.

— W z. m. straż ogniowa ochotnicza w Suwałkach obchodziła piętnastą rocznicę swego założenia.

— Wedle doniesienia pism żydowskich, ruch emigracyjny żydów do Ameryki zmniejszył się w ostatnich czasach. Pomimo to w końcu kwietnia wyruszyło z Libawy do Argentyny 400 osób, a w m. b. mają wyjechać dwie partye po 400 osób, przeważnie z kraju północno-zachodniego, kosztem barona Hirscha.

— Na placu między ul. Koszykową i Nowowiejską będzie urządzony park publiczny; na pierwsze wydatki przeznaczono 15,000 rubli.

— W Finlandyi, według doniesienia *Nowosti*, wydano nowe prawa o żydach; prawa żydów znacznie rozszerzono i zrównano z prawami cudzoziemców, w Finlandyi zamieszkałych.

— Wyjazd dzieci na wieś na kolonie letnie już się rozpoczął. Pierwsza gromadka udała się do Kuchar pod Gąsocinem. We czwartek pojechały dziewczęta w liczbie 50 do Leszna. W piątek chłopcy do dwóch kolonij, a mianowicie 25-iu do Dzierzbic pod Kłodawą i stu do Grotów pod Włochami. Wreszcie w sobotę znowu dziewczęta w liczbie 40 do Suchej pod Białobrzegi. Z końcem tygodnia zatem znalazło się na wsi 275 dzieci w pięciu miejscowościach.

Z prasy. *Gazeta kaliska informacyjno-anonsowa* uzyskała od głównego zarządu prasy koncesyę na następującą zmianę programu: 1) rozporządzenia rządowe i projekty; zmiany w personelu służbowym w Kaliszu i gubernii; 2) kronika bieżąca (krótkie wiadomości o wypadkach w mieście i gubernii, sprawozdania, kronika sądowa bez omawiania wyroków sądowych, krótkie wiadomości z dziedziny rolnictwa i handlu); 4) krótkie wiadomości o wypadkach w państwie, tudzież za granicą, wiadomości o wynalazkach i hygienie; 5) krótkie utwory belletrystyczne i bibliograficzne, z bezwarunkowem pominięciem artykułów treści politycznej lub historycznej; 6) ogłoszenia i wszelkie informacye. Z tym programem gazeta wychodzić będzie, jak dotychczas, dwa razy tygodniowo.

Szkoły. We środę ubiegłą zakończył się rok szkolny w warszawskim Instytucie głuchoniemych i ociemniałych. W roku tym znajdowało się w Instytucie 84 chłopców głuchoniemych, 64 dziewczęta głuchonieme, 20 chłopców ociemniałych i ośm dziewcząt ociemniałych; według wyznań, było głuchoniemych: prawosławnych 27, katolików 112, ewangelików 3, żydów 6; ociemniałych katolików 27, żyd jeden.

— W Instytucie Nowoaleksandryjskim przedłużono w r. b. wykłady na wszystkich trzech kursach. Egzamina na kursie pierwszym odłożono do dnia 17-go i na kursach drugim i trzecim do dnia 28 b. m. Przy zmianie tej wakacye letnie dla studentów kursu pierwszego zaczną się z dniem 13 lipca r. b., przyczem studenci tego kursu, stosownie do instrukcyi, są obowiązani przez czas wakacyjny prowadzić miejscowe kolekcye przyrodnicze.

Zdrowie publiczne. Dzienniki kijowskie donoszą, iż d. 28 z. m. były trzy wypadki choleryczne w Szepetówce, z tych dwa śmiertelne. W Sławucie też były wypadki tej choroby.

— Pragnąc, ażeby rozbiór bakteryologiczny wody wiślanej był dokonywany częściej niż obecnie, magistrat m. Warszawy zamierza utworzyć stałą posadę bakteryologa na stacyi filtrów, z pensyą 1,200 rubli [illegible]

— Według źródeł urzędowych, w obrębie gub. warszawskiej znajduje się 65 aptek, a mianowicie: w pow. warszawskim 9, sochaczewskim i skierniewickim po 1, błońskim i nieszawskim po 5, kutnowskim 4, łowickim i gostyńskim po 3, włocławskim 8, grójeckim, nowo-mińskim, pułtuskim i płońskim po 6, radzymińskim 2.

Wystawy. W ubiegłą niedzielę odbyło się otwarcie prowincyonalnej wystawy przemysłowej w Poznaniu. Ogólne wrażenie jest dodatnie. Najokazalszy jest gmach przemysłu, na przestrzeni 7,167 metrów kwadratowych, z 500 blizko wystawcami.

Koleje i komunikacye. Kolej Poleska zaprowadza u siebie specyalne wagony do przewożenia raków przez Białystok i Grajewo do Berlina.

— Niedawno otwarto dla komunikacyi kołowej szosę nad brzegiem Wisły od folwarku Potok pod Marymontem do mostu kolejowego pod Warszawą, wzdłuż cytadeli. Jestto między innemi najkrótsza droga do Bielan.

Wyprawa. W jesieni, pod wodzą znanego podróżnika i geologa, Bogdanowicza, udaje się do Ochocka i Kamczatki wyprawa w celu badań naukowych, ekonomicznych, oraz poszukiwań złota. Wyprawa ma potrwać dwa lata.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani M. K. Przysłowiem: „Comparaison n'est pas raison" można odpowiedzieć Ferrerze. Całe rozumowanie swoje oparł on na podobieństwie, które, jak wiadomo, w nauce nie jest wcale dowodem [illegible] gającym. Układa on taki wniosek: Ponieważ pewne [illegible] pomocą wprowadzania do organizmu ich zarazków, przeto również powinniśmy leczyć choroby nerwowe za pomocą czytania książek denerwujących. Wywód całkiem fałszywy, gdyż: 1) nie wszystkie choroby dadzą się tym sposobem usuwać lub łagodzić, i 2) nikt nie dowiódł doświadczalnie, żeby takiej kuracyi podlegają nerwowe. Dopóki terapeuta czy psychiatra nie może przedstawić ani jednego faktu, najlogiczniej wysnuta jego metoda nie posiada żadnej wartości użytkowej.

Nihil. Pomijając formę, która jest jeszcze bardzo niewykształconą, nie możemy zużytkować artykułu Pańskiego, gdyż nie jest on umiejętnem rozwinięciem jakiejś myśli, ale bezładną wiązanką uwag, częścią znanych, częścią niewytłomaczonych należycie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Мая 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.